HARCERZ

Warszawa, Kwiecień 1917 roku. № 2. Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

„Jeśli w Waszym kraju jest dużo podobnych do Ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę”.

„W PUSTYNI I W PUSZCZY”.

Czego Was uczy natura?

Harcerze! Radość ogarnia mię, gdy na zapał Wasz patrzę, na waszą własną chęć zostania harcerzami, przetworzenia siebie. Otóż natura cała, choć dalecy od niej jesteście, bo Was życie od niej odrywa, mogłaby lepiej od wszystkich nauczyć Was, kochać ideał harcerski.

Widzieliście może nieraz, jak rodzice — ptaki pisklęta swoje, gdy już podrosną, wyrzucają z gniazda, każą im lecieć. Ale nie ze wszystkimi pisklętami tak zwykli robić, niektóre same pragną poznać niebezpieczeństwo lotów i rade próbują płynąć w przestwór powietrza. Poznają wtedy same, co to znaczy pruć powietrze piersią — pokonywać opór powietrza, ale zarazem uczą się korzystać z tego oporu i na rozpostartych skrzydłach utrzymywać się, zawisnąć i ważyć się.

Widzieliście też nieraz, pierwsze niezdarne szybowanie młodych ptaków. Ale po dwóch, trzech dniach cóż zauważyliście? Co za szybka wprawa!? wyrwało Wam się z nut. Już jaskółka młoda zakreśla koła w powietrzu, już sama dla siebie łowi owady w locie, już umie nizko, — tuż przy jeziora powierzchni przelecieć i opryskać się wodą.

Jak całą naturę w całej swej rozmaitości, jak jastrzębia czy drobną jaskółkę, tak i Was powołał do istnienia jakiś pęd odwieczny życia—z woli Wielkiego Stwórcy.

I Wy probujcie harców, one zaprawią Was do życia. One nauczą Was nietylko pokonywać przeciwności, ale jeszcze wprzęgać je do Waszego rydwanu, co Was do celu powiezie!

Życie wielkomiejskie odrywa Was od natury. Jakby zapominacie codziennie, że doba to jednorazowy obrót ziemi naokoła własnej osi. W dzień poglądacie wciąż na zegarek i do godzin stosujecie swe zajęcia, w rzeczywistości zaś do wysokości słońca na niebie, czyli również do obrotu ziemi. Pytacie, ile miesięcy do wakacji zostało, a zapominacie, że miesiąc jeden, to czas obrotu księżyca naokoło ziemi.

Dumni jesteście, żeście już dwanaście lat przekroczyli, a z pamięci Wam wychodzi, że 12 razy już ziemia obiegła słońce naokoło, od chwili Waszych narodzin, że 1916 lat ery chrześcijańskiej znaczy tyleż, co 1916 obrotów kuli ziemskiej dokoła słońca.

Człowiek zdaje się oddala się od życia na łonie natury, wynajduje przyrządy, mierzące w liczbach czas, ale w rzeczywistości całe jego życie jest uzależnione od tego, co się na ziemi i z ziemią samą dzieje. Wiecie przecież, że pochylenie się osi ziemskiej w stosunku do płaszczyzny biegu jej naokoło słońca, powoduje zmienność w nagrzewaniu jej powierzchni, a stąd i pory roku. Od miejsca na kuli ziemskiej zależy klimat kraju, jego roślinność i świat zwierzęcy. Dlatego też musimy znać dobrze naturę, aby ocenić nasze stanowisko, stanowisko na ziemi i we wszechświecie człowieka; musimy znać wszystkie siły natury, aby umieć i walczyć z nimi i zaprzęgać ich do pracy, dla nas. Człowiek dzięki temu np. opanował spadek wód — przy poruszaniu młynów, silników elektrycznych, prężność pary przy budowie parowozów, okrętów i t. p.

W tym roku wiosna przyszła późno, a tak jej niecierpliwie wyczekiwaliśmy. Chłody długie dokuczliwie urągały nam, którym dotąd zdawało się, że cóż tam zimno... Ale gdy długo trwało to zimno, woleliśmy zamiast ciepło ogrzanego pokoju (o ile to było możliwe) wyjść na powiew wiosenny wiatru.

Pamiętamy wszyscy, że Wisła w tym roku długo w okowach lodowych trwała. Ale silniejsze marcowe promienie rozkuły ją! Zwały kry niosły fale! Podziwialiście moc wód, szał wiosenny rzeki po zimowem znieruchomieniu! Do życia z wiosną budziła się Wisła. I widzieliście pewnie nie na jednej wycieczce tę dziwnie świeżą jakby złotą ruń ozimin czy traw, podziwialiście pierwsze kwiaty... Tak szybko się rozwinęło!—szeptaliście w zachwycie, patrząc na ogarniające naturę pragnienie tworzenia, korzystania z twórczych słońca promieni.

Uczyła Was z wiosną natura o tajemnicy swej—ciągłego, odwiecznego tworzenia. Nie myślicie chyba, aby człowiek już od pierwszych dni, gdy na świecie się zjawił, nie znał tej tajemnicy. Widzimy i dziś człowieka, naszego polskiego chłopa, co ręką silną i umiejętną kierować wyszedł z wiosną pługiem. Rzucać będzie ziarno w czarną glebę. Skorzysta on z tworzenia natury i sam za swą pracę z plonów weźmie lwią część na swe pożywienie.

Ale czyż prócz tej pracy i korzystania ż tworzenia nic człowiek nie czyni? Nauczyła natura człowieka też tworzyć. Ona mu dała pierwsze wzory schronisk—groty, ona mu kazała upiększać każdą rzecz najniezbędniejszą do życia czy łyżkę do codziennej strawy, czy oręż, bo roztaczała przed nim prawdziwe skarby pięknych widoków i malowała krwawe zachody i złote świty.

Natura wyniosła na ziemi powierzchnię wielkie góry, „podniebne Alpy" i Tatry. Człowiek—stworzył piramidy, grobowce faraonów, arki zwyciestw rzymskie, później zamki i kościoły średniowieczne, wreszcie pałace królewskie i pałace sztuki. Dziś wojna światową burzy te zabytki minionych czasów, ale rwie dalej życie... I nawet u nas, na których ziemi szaleje zawierucha, mamy ruiny i popieliska. Lecz jak i wszystkich, tak i nas uczyć będzie natura o nieśmiertelności życia na ziemi, o wiecznym tworzeniu i o przetwarzaniu. Na ruinach jednego życie tworzą się nowe, często piękniejsze, niosące wszystkim, nietylko wybranym — szczęście. Wtedy też wszyscy są wezwani do tworzenia i wszyscy w piersiach czują radość.

Pewien jestem, że każdy z Was, Harcerze, pragnie w przyszłości stanąć do budowy nowego życia na ojczystej ziemi. Będzie to nowe życie, będzie miało ten wielki pęd, jak Wisła, gdy w marcowym słońcu popękane lody odrazu zniosła.

I pamiętając o Waszym celu, o tem, czego Was natura uczy, tem goręcej pragniecie być Harcerzami.

Sokole wasze oko tylko szczęście—braci ma na widoku! W blaskach słońca wiosennego, wy nie widzicie własnych smutków, choć głód wam doskwiera, i zrywacie raz na zawsze z niedołęstwem. Na polach już ruń świeża, na otokach, na miedzach i na łąkach kwiecie stubarwne, na harce więc, na harce! Wiatr wiosenne opali Wam twarze, nocny wiew zahartuje Wam ciała, a zagrzeje do walki z przeciwnościami życia.

Przetworzycie więc wy sami siebie, a gdy kraj Was wezwie do pracy i tworzenia, znajdzie Was obywateli dzielnych i czynnych.

Józwa.

Pieśń przyrody.

Słuchaj! Blady brzask zimowy już zagląda do Twojego okienka. Budzi się dzień szary. Gromadka wróbli-mazurków obsiadła gzymsy okien i balkony domu i powtarza uporczywie „świt-świt-świt". Daj im okruszyny z twego stołu, bo, gdy ludzie głodni i liczą każde ziarnko zboża, i one też głodne. Martwisz się o dzień jutrzejszy? Może o przyszłość Twojej ziemi? Słuchaj — oto jeden naczupurzony siadł naprzeciwko Ciebie i powtarza cichutko „cierp-sierp";—podleciał do niego drugi wesoły, roztrzpiotowany i woła „dziś-dziś-dziś!"—jak w mazurze,—nie darmo go przecie „mazurkiem" nazywają. Jaśniej jakoś się zrobiło na świecie,—w podwórza cienie wilgotne weszła zorza seledynowa.

Jest na świecie siła niezmożona, która koi zmarzniętego wróbelka w świt zimowy wielką, serdeczną wiarą, że wiosna wróci i wróci szczęście pól pełnych ziarna urodzaju.

Jest siła, która najmarniejszej, biednej ptaszynie każe wierzyć, że warto żyć i marznąć, i głód cierpieć i boleć nad bezjutrem, bo jest ktoś, kto nie opuszcza nigdy serc wiernych. Moc trwania nie jest tylko rezultatem organizacji fizycznej i przystosowania, jest w niej coś z niebieskiej zorzy świtu, która jak niewysłowione niczem wzruszenie rozlała się oto nad polską ziemią. Wróbelek szary mówi Ci i o Polsce i o sobie — o owem wielkiem królestwie wiary, bez którego życie byłoby tylko więzieniem i smutkiem.

Przed Świętym Krzyżem, pod posągiem Chrystusa, żebraczka w łachmanach, o kuli, korzystając z wczesnej godziny i niewielkiej ilości przechodniów, karmi ptaki okruszynami ze swego nędznego obiadu. W tłumie jej pupilów jest i zięba jedna i sikorek kilka. Wyglądają jak zbankrutowani panowie, którzy przyszli do taniej kuchni; — wstydzą się samych siebie, trzymają zdala, przysuwają do jadła nieśmiało. Karmicielka zobaczyła ich, zrobiła krok dalej i posypała im osobno garstkę na jęzdnie ulicy.—Sygnaturka coś zaczęła dzwonić dźwięcznie, metalicznie. Słuchaj! wyraźnie mówi „pomnij-pomnij"!.. Pomnij o zapomnianych, gdyś sam niezapomniany.

Pamiętaj o szczodrobliwości twórczej dłoni dla każdej niedoli, abyś miał prawo do tytułu ptaka wolnego, któremu w błękitach nieba żyć snadnie.

Pamiętaj, że dobre serce tylko wtedy jest coś warte, jeżeli każe służyć rękom czynem wyraźnym. Co dasz dziś na ofiarę w modlitwie porannej Bogu i ziemi?..



Ptaki Cię pytają ,,dziś-dziś". Nie umiera nigdy pieśń Ducha w przyrodzie. W najsroższą zimę śnieżną ułożysz w lesie Drewnicy, czy Czarnej Strugi bukiet zielony z borówki, żórawiny, trząski, modrzewnicy, jemioły, barwinka i tylu innych liściastych roślinek. Nie umiera nigdy pieśń, bo pofiuki wania strzyżyków, gilów, czyżów, sikorek, makolągiew urągają nawet mrozom trzaskającym. Świat i życie zdobywają one pogodą ducha, wiarą w jutro, w siły własne, w dobroć Bożą i przyjaźń poczciwą. Nie umiera nigdy czyn i praca, bo najmocniejszy sen zimowy nie zatrzymuje bezwzględnie krążenia soków, nie osłabia wypuszczenia pączków, nie przerywa działalności komórek ssących. Żywie w przyrodzie pierwiastek twórczy mocy i rodzajności, który sprawia, że najmniejsi i najdrobniejsi — jak np. zacna familja wróblowatych są śmiechem z radością tej przyrody, że ubożuchna trawa trząska uczy nas pojęcia nieśmiertelności.

Śpiew strzyżyka w zawieję śnieżną jest rzeczywiście piosnką Janka-sieroty z polskiej klechdy, który szuka wody żywej i ognia wiecznego dla matki. Szukajcie i wy go w przyrodzie polskiej ziemi. Może on gdzieś bliziutko.

Trzeba do niego i po niego iść z pieśnią życia — pieśnią młodego zucha, który umie świetnie rozkazywać—samemu sobie.

Na wszystkie przeciwności i przeszkody woła on jak zięba ,,nic to! nic to!", — podnosi upadłych i zdeptanych, wkłada wypadłe pisklę do gniazda, odpędza od niego drapieżcę, przytula do się wystrachanych i umęczonych. Patrzcie! upadła mu pod nogi skostniała, bez tętna serca prawie—jaskółka dymówka. Wziął ją w ręce, ogrzał tchnieniem ust własnych, ogrzał na piersi pod koszulą — a skoro piszczeć nawrócona do życia zaczęła śmiesznie, wypuścił ją w górę rzutko z rąk i śpiewa ,,Leć mój ptaku w górnym pędzie..." — Leć mój ptaku, leć!....

Zanieś wszystkim harcerzom polskim wieść, że my się tu starsi modlimy myślami gorącymi w szare smutne przedwiośnie o skowrończaną pieśń Ducha w nich, o lot wzwyż sokoli, o orle tęsknoty, lecz o dusze w nich gołębie.

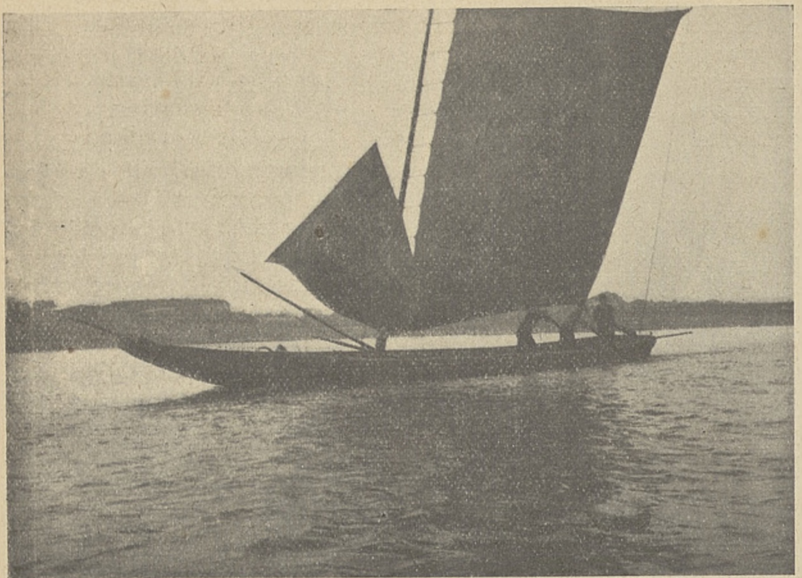
Konrad.

WISŁA.

Gdy zima ustanie i mętne fale zaniosą krę hen aż do Bałtyku, na Wiśle budzi się życie. Rzuć tylko okiem po fali, zobaczysz łódki, płynące lekko i zwinnie, nakształt rybitw, unoszących się nad nimi w powietrzu; zobaczysz ładowne, poważnie sunące berlinki, ciężkie ,,baty", naładowane po brzegi żwirem lub piaskiem, i śpiczaste ,,łodygi" rybackie. Wisła rozbrzmiewa gwarem, wre życiem.

A ileż to życie ma przyjemności? Ileż przynosi wrażeń? Wszak praca piaskarza jest niezmiernie uciążliwą, a jednak pracy tej nie porzuciłby za nic, bo ukochał tę pracę. Wisła ma tę moc, że ciągnie ludzi do siebie, a kto raz ją pozna, to i ukocha, a wtedy trudno mu ją porzucić. My sami doświadczaliśmy nieraz, jak Wisła przyciąga.

Ileż to razy błądzimy całemi godzinami, nad Jej brzegami, tak sobie bez celu? A jednak nie czu-



Na Wiśle.

jemy zmęczenia i trudno nam się od Niej oderwać!

A cóż-to dopiero za rozkosz, gdy wsiądziesz w ,,łodygę'', włożysz maszcik w ,,sztejnblok'', a rozwinąwszy żagiel, puścisz się na fale. Łódź szumi po fali, a ty, siedząc na tyle, kierujesz nią, używając jako steru zwykłego wiosła z ,,omerkiem''.

Ale, gdy przyjdzie ,,szaruga'', żegluga staje się niebezpieczną, choć ma i więcej powabu. Wiatr dmie gwałtownie, szarpiąc z wściekłością żaglem i kładąc łódź bokiem na fali. Wisła staje się granatową, marszczy się i wreszcie łamie się na fale, walące raz w raz w dno łodzi. Łódź szarpie się, walczy z falą, sunąc we wściekłych skokach z bałwana na bałwan. Fale, bijąc w łódź rozpryskują się, obrzucając się jednocześnie deszczem. Walczysz wtedy, wytężasz wszystkie swe siły, całą energję, aby uniknąć śmierci w rozhukanym żywiole. Ale zarazem radość mocy i swobody napełnia ci piersi.

Albo gdy noc zapadnie, a przybiwszy do brzegu, rozłożysz na nim obóz i zapalisz ognisko. Co za urok! Wisła potężnieje i przyjmuje fantastyczne kształty. Dokoła ciebie cisza, przerywana jedynie szumem fali lub płynącą zdala pieśnią flisacką. Pierś ci rozpiera radość, wesele, uczucie swobody; nad tobą niebo polskie, przed tobą ta modra rzeka ojczysta. Czujesz wtedy, że ci się coś w piersiach poczyna, że cię coś zbliża do Ziemi—Matki zadumanej, do Wisły szumiącej, jakby modlitwę cichą i... uczuwasz świętą miłość Ojczyzny.

Maniek Cz...

Przypisek Redaktora.

Z radością wkładamy ,,Wisłę'' do numeru ,,Harcerza'', gdyż drużyna Wiślańska zdawna jest naszym marzeniem. Na falach Wisły drużyna taka uczyłaby się obcować z niebezpieczeństwem, w walce z żywiołem wyrabiałaby swe młode siły i hart ducha; a zarazem poznałaby życie rzeki, lud, rybaków i flisów polskich, którzy nad wodą lub na wodzie spędzają lwią część swego życia. Wszelkie prace, wspomnienia z tej dziedziny witać będziemy zawsze gorąco.

POWITANIE WIOSNY.

Nie zdajemy sobie często sprawy z tego, jak bardzo przyroda może oddziaływać na nas. Nie mówiąc już o roli jaką w naszej miłości Ojczyzny odgrywa to roślinne przywiązanie do ziemi, objawiające się nawet u ludzi, stojących na najniższem szczeblu kultury, przyroda wywiera ciągły wpływ na życie człowieka, choć często nie uświadamia on sobie tego.

Wprawdzie u ludzi mieszkających stale w mieście i nieinteresujących się przyrodą wpływ ten maleje i zanika, my nie powinniśmy jednak do tego dopuścić. Postarajmy się zbliżyć do przyrody i ukochać ją. Tego, czego ona nas nauczy nie da nam żadna książka. Przyroda sama jest najpiękniejszą książką, bo kto ją czyta, wczuwa się w nią i z nią razem żyje.

Czy nie pamiętacie tych chwil, gdy, będąc małymi, baliście się nadchodzącej burzy i ten sam niepokój odczuwaliście w roślinach w waszym ogródku, w towarzyszu zabaw, ukochanym psie. A później, gdy burza przeszła, czy nie cieszyliście się świeżością powietrza i czy razem z wami nie cieszyły się ptaki, drzewa i wszystko, co żyje.

Czy obudziwszy się w jasny poranek letni, pomyśleliście najpierw o zrobieniu komuś przykrości, a nie o tym, że świat jest cudny. Nie, czuliście, że w tej chwili nic złego zrobić nie można.

Czy nieraz w jesieni nie było takiego dnia, w którym się nic nie wiodło, było smutno, a człowiek żałował tylko, że nie jest zwierzątkiem, które może zwinąć się w kłębek i spać, kiedy chce? A później dochodziliście do wniosku, że powodem waszego usposobienia był tylko szary, dżdżysty dzień listopadowy.

To jest wpływ przyrody i odczuwanie jej przez człowieka. Z czasem zaciera się ono, starsi przeważnie nie są tak wrażliwi jak dzieci.

Ileż chwil szczęśliwych tracą przez to. Czyż nie lepiej jest temu człowiekowi, który w najcięższych nawet warunkach życia umie się cieszyć rozkwitającymi pąkami i zapachem wiosennego powietrza, niż temu, co zatopiony w swoich troskach i kłopotach nie widzi wcale cudów, które go otaczają?

Ażeby rozumieć i nie stracić zdolności odczuwania przyrody, trzeba ją znać i obserwować. Zacznij-

cie tylko, a zobaczycie, jak bliską i drogą wam się stanie, zanim jeszcze poznacie ją dobrze.

Teraz najlepsza chwila do rozpoczęcia badań: wiosna niedługo i przyroda już się budzić zaczyna.

Czy pamiętacie bajkę o krasnoludkach i sierotce Marysi?

Idźcie jak ów krasnoludek szukać śladów wiosny.

Nie potrzeba nawet wychodzić za miasto, znajdziecie ją w ogrodach: w Łazienkach i w Parku.

Dla ułatwienia opiszę Wam, co znalazłam już sama i z własnego doświadczenia radzę wam: szukajcie, a znajdziecie nawet to, czego nie mieliście zamiaru szukać: dużo radości i zapomnienia o tym co szare, przykre i brzydkie!

Zmęczone pracą więcej niż zwykle, bo wojna wszystkich zdążyła zmęczyć, już od pierwszych dni lutego z niecierpliwością oczekiwałyśmy wiosny.

Codzień rano, obudziwszy się, biegłyśmy do okna i, jeśli słońce świeciło, zdawało się nam, że na dworze już ciepło, że, jeśli otworzymy okno, do pokoju wpadnie rzeźwy, świeży podmuch wiosennego wiatru, przesyconego zapachem młodej trawy, dzwoniący wesołym świegotem wróbli.

Otwierałyśmy okno i fala mroźnego powietrza rozwiewała nasze marzenia. Pachnie tylko wilgocią mokrych chodników i murów, ani śladu tego specjalnego zapachu zwiastującego wiosnę, który znałyśmy tak dobrze. Chodziłyśmy do Parku i do Łazienek patrzeć, czy nie kwitną drzewa, ale kwiatów nie było jeszcze ani śladu. W końcu znudzone i zniechęcone, przez cały tydzień nie poszłyśmy tam ani razu.

Aż raz, w końcu lutego, Anka wróciwszy z Wilanowa przywiozła pęk baziek wierzbowych, które znalazła nad łachą.

Nazajutrz pobiegłyśmy do Łazienek. Ileż zmian zaszło przez tydzień? Zakwitła leszczyna rosnąca na wyspie i koło teatru, a płacząca wierzba przy pałacu nad kanałem ma już kotki.

Nie wszyscy z was zapewne zauważyli, jak ładne pomimo nikłych barw są kwiaty drzew. Mało kto przyglądał się im uważnie, bo zazwyczaj ludzie zwracają uwagę na drzewa wtedy, gdy rozwijają się liście, a drzewa przeważnie kwitną przedtym. Dzieje się to dlatego, że prawie wszystkie nasze drzewa leśne są zapylane przez wiatr, który może roznosić pyłek wtedy, gdy nie spotyka przeszkód po drodze. Dlatego też kwiaty leszczyny, olszyny, wierzb i kwitnących nieco później brzóz, grabów, wiązów i klonów, są tak niepozorne, gdyż nie potrzebują przynęcać owadów.

Jeśli jednak przyjrzymy się zblizka owym niepozornym gałązkom kwitnącej leszczyny, przekonamy się jak ładne są jej kwiaty. Długie baźki składają się z szarawych łusek, z pod których wyglądają żółto-zielonawe pylniki. Dotykam ręką baźki i na palcach zostaje mi trochę delikatnego pyłku.

Przychodzi mi na myśl całe wiosenne bogactwo barw, jakimi wkrótce okryje się cały park, a którego zwiastunem jest ten żółto-zielonawy pyłek, barwa, której nie było w zimowym krajobrazie.

Jeszcze inną, nową barwę mogę tu znaleźć. Znam ją dobrze i dlatego uważnie oglądam gałązkę leszczyny. Na czubkach niektórych pączków widzę krótkie niteczki karmazynowe, tworzące niby mały pendzelek. Bo też to niezwykłe pączki, choć zbliżone do nich wyglądem, to kwiaty słupkowe leszczyny—zapowiedź orzechów.

Zapominam w tej chwili zupełnie o szarym, pochmurnym niebie i brudnym śniegu, widzę tylko te dwie nowe wiosenne barwy. Już teraz nic nas nie obchodzą mrozy lub szaruga, bo oto najlepszy znak, że wiosna nie zapomniała o nas.

Zadowolone, mokre od śniegu, który stopiony słońcem, spadał nam na głowy z potrącanych gałęzi leszczyny, błądziłyśmy po Łazienkach, szukając jeszcze więcej wiosny. Ale szukałyśmy, wiedząc, że nie znajdziemy, bo olszyny w Łazienkach niema, a na kwiaty wiosenne jeszcze zawcześnie. Postanowiłyśmy wrócić za 2 tygodnie.

W chwili, gdy to piszę, nie zakwitły jeszcze ani żółtawo-zielone kwiatki klonu, ani brzozy, ani graby, ale, gdy wy to czytać będziecie, drzewa zapewne będą już kwitły, lub może przekwitną.

Zacznie się może życie i przy ziemi: zjawią się pierwsze kwiaty. Zauważycie wtedy, że większość z nich to rośliny, które zapasy przechowują w cebulach (przebiśnieg, złoć), lub w kłączach (zawilec, podbiał).

Najpierw zapewne spostrzeżecie w sklepach białe bukieciki przebiśniegu. Jeżeli wkrótce potem pójdziecie do Łazienek lub za miasto, znajdziecie wśród zeszłorocznej trawy i wilgotnego igliwia przylaszczki: ładne niebieskie kwiatki o kilkopłatkowej koronie i licznych pręcikach i słupkach, kwiaty, które zazwyczaj pogniecione i ściśnięte w małe pęczki przypominają mieszkańcowi miasta, że wiosna przyszła.

O ileż ładniej wyglądają one na tle szarej podściółki igliwia, obok swych dużych trójklapkowych liści? Liście te nie mają świeżego zielonego koloru, gdyż pozostały jeszcze z przeszłego roku. Nowe rozwiną się wtedy, gdy kwiaty przekwitną. Oprócz przylaszczek znajdziecie jeszcze delikatne, białe z różowym odcieniem kwiaty zawilca gajowego. Nie daleko wreszcie szukając, bo w Łazienkach, spotkacie dobrze znane fijołki. Nieco później, gdy przylaszczki przekwitać zaczną, rozwiną się cudne, fiołkowe dzwonki sasanek. I te najczęściej widujemy tylko w bukietach, na pół zwiędłe. A jak ślicznie wyglądają całe kępy tych kwiatów z kroplami rosy na srebrzystych, pokrytych delikatnymi włoskami łodygach i kielichach?

Rozwiną się również i pierwiosnki, czyli kluczyki, jedne z najładniejszych wiosennych kwiatów.

Możebyście znaleźli również, jeszcze przed ukazaniem się liści na drzewach, a równocześnie z sasankami i przylaszczkami rozkwitłe ciemno-różowe kwiaty krzewu zwanego ,,wilcze łyko''. Nie mogę wam wskazać, gdzie rośnie, bo podczas lata nie zapamiętałam tego, może go jednak gdzie w Warszawie lub okolicach znajdziecie. Kwiaty wilczego łyka mają dość miły, lecz odurzający zapach, powodujący przy dłuższym wąchaniu ból głowy. Roślina ta jest silnie trująca.

O jednym kwiecie zapomniałam jeszcze. To rosnący na piaskach żółty podbiał, którego szerokie, białawe pod spodem liście możemy znaleźć przez całe lato. Teraz jednak liści tych niema jeszcze. Kwiaty podbiału są to właściwie kwiatostany, t. zw. koszyczki, to zaś, co wygląda na pojedynczy płatek, jest właściwie oddzielnym kwiatem. Pęd, na którym umieszczone są kwiaty, pokryty jest drobnymi łuskami.

W związku z roślinami budzą się i owady. Odbywa się pierwszy oblot wiosenny pszczół, zaczyna się więc robota przy ulach.

Poszukajcie także wśród suchych liści, w trawie, pod kamieniami, a zobaczycie, że i tam rozpoczyna się ruch. Przylecą niezadługo i ptaki. Wiedzą one lepiej od nas, kiedy się naprawdę wiosna zacznie. Czasem dziwią się ludzie, że ptak odważył się tak wcześnie, jeszcze w mrozy powrócić, aż tu w kilka dni pod jasnymi promieniami słońca taje śnieg i wiosenne życie budzi się i rozwija prawie w oczach.

Uważajcie więc, kiedy przylecą pokrzewki, skowronki, szpaki, bociany i jaskółki, a nie ucieszcie się czasem z przybycia wiosny, ujrzawszy gila lub dzierlatkę, gdyż pierwszy przylatuje do nas na zimę, a druga jak i wróbel spędza tu rok cały.

Jeśli kto z was chce naprawdę badać przyrodę, niech notuje sobie daty przylotu ptaków, wszystkie przejawy wiosny, jakie spostrzeże, niech bada, które z nich łączą się ze sobą i nauczy się według jednych określać inne.

Kto naprawdę będzie się umiał cieszyć rozkwitaniem kwiatów, pojawianiem się owadów i ptaków na wiosnę, dla tego w owych krótkich notatkach i datach zostanie zapach wiosennego powietrza i młodych pąków, głosy ptaków i błyski jasnego wiosennego słońca.

Wskazówki przyrodnicze znajdziecie w książkach z łatwością. Na początek, a nawet na dość długo wystarczy wam ,,Z naszej przyrody'' Dyakowskiego.

Oprócz jednak książek naukowych czytajcie i takie, które są wyrazem odczucia przyrody, a więc: Dygasińskiego, Weyssenhoffa, Kiplinga, tylko nie opuszczając opisów, jak to się właśnie często zdarza.

J.

Przelot ptaków.

Jeszcze często śniegi zalegają po jarach i parowach, w gęściejszym lesie i wogóle w miejscach, gdzie wiosenne słońce swymi ciepłymi promieniami sięgnąć nie zdołało, a już pierwsze zwiastuny wiosny ,przebywszy czasem olbrzymie przestrzenie, witają śpiewem kraj rodzinny.

Tam, gdzie przed kilku dniami na pustych przestrzeniach pól i łąk, w tajemniczych śniegiem obwisłych głębiach borów, nieliczne zaledwie gatunki borykały się z lutą zimą, zaczyna nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wrzeć życie.

Początkowo przybywają nieliczne gatunki, upływa tydzień, a żądny wiedzy spostrzegacz zaledwie 2—3 nowe gatunki zanotować zdoła, później z każdym dniem przybywa ich coraz więcej. Zjawiają się nagle, tajemniczo, tam, gdzie wieczorem napróżnobyś szukał jakiegoś ptaka, rano widać ich już setki, tysiące.

Jedne z pierwszych pojawiają się skowronki, których termin przypada mniej więcej na połowę lutego; pod koniec tegoż miesiąca, a czasem dopiero w początkach marca przylatują czajki: ,,Na Świętego Kazimierza (4 marca) wyleciała czajka z pod kierza''—mówi lud, który zdawna przywykł wszelkie przejawy przyrody wiązać z kalendarzowymi dniami swoich świętych.

Te dwa ptaki śmiało możemy uważać u nas za pierwsze zwiastuny wiosny lub, ściślej mówiąc, ostatnich dni ustępującej zimy. Wszak to dopiero połowa lutego! Jeszcze ta wiosna prawdziwa, dająca się odczuć na każdym kroku czy to w bujnym rozkwicie zieleni i kwiatów, czy też w głosach dziesiątków gatunków naszych tak sławnych po szerokim świecie śpiewaków nie prędko przyjdzie. Nieraz jeszcze da się odczuć surowa zima, powieją mroźne wiatry lub odtajałe wolne już od śniegu czarne płaty ziemi przyprószy na nowo śnieżyca. Ale wszak zawsze to jest dla nas najcenniejsze, czego jesteśmy pozbawieni; to też zupełnie tak samo, jak pierwsze źdźbła zielonej, świeżej, wiosennej trawy, pierwsze rozkwitłe skromnie na drzewach zielone pąki większe na nas robią wrażenie, niż później latem bogaty przepych zieleni łąk i lasów, tak samo dziwnie drogim wydaje się nam ów pierwszy śpiew skowronka, ów żałosny odzew chyłkiem przeciągającej nad łąkami czajki.

Pierwsza połowa marca, sprowadza nam już cały szereg nowych gatunków, przylatuje gołąb siwak, szpaki, skowronki leśne czyli firleje, pliszki i cały szereg innych. W połowie marca liczba ta rośnie, by pod koniec tego miesiąca i z początkiem kwietnia stać się najwyższą. Zwykle między 20 a 25 marca pokazują się bociany. ,,Na Zwiastowanie zlatują się bocianie''—mówi lud.

Wiosna to pora roku, w której na ziemiach naszych daje się spostrzegać mnóstwo gatunków pta-

ków, które pozatem nie bywają u nas wcale lub też tylko jesienią. Są to ptaki, które, przezimowawszy gdzieś na głębokim południu, wracają do swej ojczyzny, leżącej na dalekiej północy. Do takich należą łabędzie, gęsi, niektóre kaczki i cały szereg kulików.

Wiosną przejawia się życie ptasie przez dobę całą: dniem widzimy bądź to pojedyńcze okazy rozmaitych ptaków, bądź to stada ciągnące ku północy, lecą kaczki, wyciągnięte sznurem, lecą gęsi ,,kluczami"; w nocy jednak ruch ten nie ustaje nawet w mieście; gdy wrzawa uliczna nieco przycichnie, dochodzą nas tajemnicze głosy z góry, głosy, oznajmiające nam o dalekich nużących podróżach i objaśniające to nagłe pojawienie się ptaków rankiem tam, gdzie ich wieczorem jeszcze zupełnie nie było.

Cóż dopiero na wsi, gdzie przyroda staje przed nami w całej swej dziewiczej krasie, gdzie każdy przejaw życia nie jest tłumiony ręką człowieka. Przyjrzyjmy się jak wygląda urywek takiej nocy w czasie największego natężenia wędrówek ptasich.

Jesteśmy gdzieś na zalewiskach jednego z dopływów Wisły. Jest druga połowa kwietnia. Wody rzeki wezbrały i szeroko rozlały się po nadbrzeżnych łąkach i moczarach. Z pomiędzy gładkiej, spokojnej powierzchni wody gdzieniegdzie widnieją małe wysepki, wyżej położone miejsca, których woda nie zdołała zalać. Tajemniczo czernieją, wystając z wody, pojedyńcze drzewa i rzędy olch nadbrzeżnych.

Jest noc, lekki ciepły powiew wiatru pędzi rozsiane po niebie obłoki, pełną tarczą świeci ogromny księżyc, rzucając zielonawo-srebrne fale światła. Łódka nasza cicho, bez szmeru błądzi po zalanych łąkach, ociera się o szuwary, mknie głębszemi miejscami pomiędzy wysepkami.

W koło nas życie wre, kipi gorączkowo, namiętnie. Tam, gdzie za parę tygodni nocami zalegnie głucha cisza, teraz dochodzą nas dziesiątki najrozmaitszych odgłosów. Przejawy życia rozkwitają tak bujnie, tak gorączkowo, że nie starczy im długiego wiosennego dnia. Gdy natura budzi się z zimowego uśpienia dla dzieci jej niema różnicy między dniem i nocą.

Wsłuchujemy się w głosy nocy, w jej szmery i znaki, a raczej łowimy je pełnym uchem, starając się nie zgubić się w tym rozgwarze, w tym chaotycznym rozpętaniu sił, nagromadzonych przez długie zimowe miesiące.

Ciche lub ostre szmery skrzydeł, donośne i radosne lub przytłumione i ostrożne głosy nieprzeliczonych rzesz ptasich dobiegają nas zewsząd. Oto gdzieś z oddali, rozpływając się szeroko po płaszczyźnie wód i moczarów, huczy jakiś grozą przejmujący potężny głos. Poprzedza go głuche przytłumione huczenie, poczem raz po raz kilkakrotnie powtarza się potężny ryk. To bąk śpiewa swą pieśń godową. Przyleciał on w pierwszych dniach kwietnia, a teraz rozkwaterował się już na dobre w swej dziedzinie, którą stanowią kurzawy i zarośla krzewów nadwodnych.

Z pod chmur rozlega się dźwięczny donośny okrzyk gęsi. Między innymi głosami słychać go coraz bliżej, coraz wyraźniej... Nagle tuż nad nami, w przerwie między nizko wiszącymi chmurami zamajaczyły cienie wielkich ptaków i za chwilę znikły, głosy ich stają się coraz cichsze, dalsze, aż milkną dla naszego ucha, które wnet jednak zaczyna rozróżniać okrzyki podobne, dochodzące z najrozmaitszych stron. Wypadkowo dostrzegamy niżej lecące stada, większość w mrokach nocy oznajmia się nam tylko głosem. Jedne cichną, drugie potężnieją, by znów ustąpić następnym.

Spłoszony pluskiem wiosła z pobliskiej wysepki zerwał się jakiś kulik i z piskiem zniknął w mrokach, a zewsząd odpowiedziały mu inne... Przez chwilę wrzawa żałosnych wysokich tonów zapanowała nad innymi. W pobliżu odezwała się w trzcinach kaczka, raz i drugi, odpowiedział jej stłumiony syk kaczora. Znów cicho, znów dochodzą głosy ciągnących gdzieś nad chmurami kulików, jakichś północnych kaczek, to znów słychać lecące drozdy.

Nagle ostry świst skrzydeł przeciął jak batem powietrze, to lotem strzały nad samemi głowami przeleciało nam stado cyranek. Raz po raz słychać kręcące się z głośnym burczeniem skrzydeł czajki. Gdzieś daleko nad ziemią przebrzmiał groźny okrzyk puhacza.

Tu na ziemi widzimy i słyszymy już cały szereg naszych stałych letnich mieszkańców, ale tam wysoko nad ziemią przelot trwa jeszcze w całej sile. Śpiesznie, gorączkowo stada za stadami, gatunki za gatunkami—lecą mieszkańcy bardziej północnych krajów, zewsząd dochodzą nas ich głosy; a wiele ciągnie bez głosu lub tak wysoko, że ich nie słychać?

Ale my mieszkańcy wnętrza lądu nie mamy nawet pojęcia do jakiego natężenia dochodzą przeloty ptaków na niektórych pobrzeżach mórz, to, co nam wydaje się masowymi przelotami, zaledwie słabe daje wyobrażenie o tych nieprzeliczonych chmurach, które ciągną wiosną i jesienią, np. wzdłuż zachodnich wybrzeży Europy.

Oto, co pisze H. Gätke, zasłużony badacz przelotów ptaków, który przez pięćdziesiąt lat obserwował przeloty na wyspie—Helgoland, leżącej naprzeciwko ujścia Elby:—,,Gdy w końcu maja pogoda staje się wyjątkowo przyjazna, w czasie godzin nocnych daje się obserwować całe szeregi najrozmaitszych gatunków, niektóre lecą pojedyńczo, inne małemi stadkami lub dużemi stadami, ale wszystkie ciągną bezustanku, starając się, o ile możności, jak najprędzej dolecieć do swej ojczyzny. Za to w czasie wschodu słońca i podczas wczesnych godzin porannych tysiące i dziesiątki tysięcy ptaków zatrzymuje się na Helgolandzie, by odpocząć w ciągu kilku godzin, inne gatunki robią to samo przy zachodzie słońca. Wyśledzić we wszystkich szczegółach zjawienie się

tych wędrowników, mimo najusilniejszych i najstaranniejszych obserwacji jest zupełnem niepodobieństwem; szczególniej zaś trudnym jest to, o ile chodzi o drobne ptaki śpiewające: tych bowiem liczba powiększa się z minuty na minutę, a jednak zupełnie nie widać, by oddzielne osobniki spuszczały się z góry lub przylatywały skądkolwiek. Niektóre gatunki opuszczają się na pole jeszcze wtenczas, gdy jest niemal zupełnie ciemno i o świtaniu widać już tysiące osobników, inne, jak np. podróżniczki, zjawiają się przed samym zachodem słońca, jeszcze inne, jak to pokląskwy, już wtenczas, gdy jest zupełnie widno. Potem liczba wędrowników wzrasta tak szybko, że około godziny 10-ej rano, nietylko wszystkie łąki, pola i ogrody, wyspy są przepełnione pliszkami, rudzikami, opocznikami, pokląskwami, podróżniczkami, piecuszkami i trzciniakami, ale nawet zupełnie gołe, zwirem tylko usiane miejsca u stóp góry, formalnie kipią od ptaków; krzaki i nawet uboga roślinność wydm stają się również schroniskiem tysięcy najrozmaitszych pokrzewek.

— ,,Szczególniej interesujące i pociągające są masowe przeloty przy świetle latarni morskiej. Największy swój rozwój osiągają one w drugiej połowie września, głównie zaś pod koniec tego miesiąca. Przelotne stada składają się głównie ze skowronków, następnie ze względu na ilość osobników następują szpaki, drozdy; towarzyszą im zawsze przedstawiciele licznej rodziny kulików. Jakkolwiek dziwnym się to wydaje, ale w równie wielkich ilościach wędruje czasem i mysikrólik, jak np. w nocy z 28 na 29 października, kiedy te maleńkie stworzonka uwijały się koło latarni morskiej nakształt płatków śniegu i pokrywały dosłownie każdą piędź wyspy. Przelot ich ciągnął się w ten sposób od 10-ej godziny wieczorem do 9 godziny rano dnia następnego. Podobny również, wyjątkowo liczny przelot skowronków był obserwowany w październiku 1883 roku. O ile wskutek zmiennej pogody taki masowy przelot prawie nigdy nie trwa dłużej nad jedną noc, to w tym ostatnim wypadku zaciągnął się on na całe cztery noce i był obserwowany, sądząc z moich ornitologicznych notatek od 11 godziny wieczorem 26, kiedy to pojawiły się miljardy skowronków i miljony szpaków, do rana 31 października; nawiasem wówiąc, wielkość przelotu kilka razy ulegała wahaniom.

— ,,Warunki, wśród których trwają te gromadne przeloty, są same przez się niezwykle pociągające. Bywają one zawsze w równomiernie spokojne, zupełnie ciemne noce, gdy nie widać ani księżyca, ani gwiazd, przy słabym, południowo wschodnim wietrze; jeżeli przytem atmosfera przesiąknięta jest silnie wilgocią, to sprzyja to tylko niezwykłemu natężeniu się zjawiska.

— ,,Najzupełniejsza, nieprzerwana ciemność, w której wnosi się jasne światło latarni morskiej, szerokie pasy światła, rozsiewanego przez nią na wszystkie strony, a uchodzące w tym mglistym powietrzu jakby w nieskończoność, świadomość sąsiedztwa bezgranicznego morza i głębokie milczenie całej w okół leżącej przyrody, wszystko to razem wzięte wywołuje potężne wrażenie i niezwykle poważny nastrój.

— ,,Wśród zupełnej ciszy nagle rozlega się początkowo pojedyńcze ,,scip'' drozda śpiewaka, niekiedy także wysokie nawołujące tony skowronka, potem znów trwająca przez minutę lub dwie pauza, przerwana nagle z daleka dającym się słyszeć ,,hiiik'' kosa i różnorodnym ,,ti-rrr'' przelatującego stadka biegusa piaskowca; w końcu obserwujący zaczyna słyszeć głosy dużej liczby skowronków, przybliżających się i oddalających stadkami mniej lub więcej licznemi, ochrypłe ,,er'' bekasów, wyraźne ,,tiut'' siewki, głośne, dźwięczne ,,krju-ju'' siewnicy, dzikie daleko się rozchodzące nawoływanie kulika ugorowego, wielosylabowe ,,szak-szak-szak'' paszkota, przeciągłe ,,ciii'' drozda rdzawobocznego, dźwięki chyżo przelatującego a szeroko rozciągniętego stadka islandzkich biegusów, łatwych do rozpoznania dzięki szybko wydawanym dźwiękom ,,tjutt-tjutt, tjutt-tjutt, i wreszcie niezliczone świszczące, skrzypcące i trzeszczące głosy, nieznane przez tutejszych myśliwych i ptaszników, a przypominające swym motywem skrzypiący wóz, częściowo wydawane najwidoczniej przez czaplę i jej krewniaków, wydobywających bardzo donośne i ordynarne dźwięki''—.

Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego w pewnych miejscowościach Europy lub Azji przeciągają takie ogromne ilości ptaków podczas, gdy w innych przelot z trudnością obserwować się daje. Odpowiedź na to prosta: ptaki w czasie swych wiosennych i jesiennych ciągów nie lecą wprost z południa na północ, po linji prostej między krajem rodzinnym a okolicą, gdzie spędzają zimę, przeciwnie ciągną one ściśle określonymi szlakami, które nazywamy drogami wędrówek ptasich. Drogi te często wikłają się, krzyżują się między sobą, zmieniają często kierunek, a prawie nigdy nie prowadzą bezpośrednio z południa na północ. Stąd też pochodzi, że zdziwiony obserwator w jakiejś okolicy często widzi wiosną gęsi, stale ciągnące zamiast w kierunku północnym, w kierunku wschodnim lub zachodnim. Znane są gatunki ptaków, które gnieżdżą się na północy Azji, a na swe zimowiska do Afryki lecą przez północną Rosję, Szwecję, Norwegję i zachodnie wybrzeża Europy. Bezwątpienia ptakom tym lepiej i wygodniej byłoby lecieć do Indji, gdzie znalazłyby one podobne do Afrykańskich warunki zimowania, lub też w ostateczności wprost do Afryki przez Azję środkową i Azję Mniejszą. Najwidoczniej jednak ptaki te nic o istnieniu przyjaznych dla nich warunków na południu Azji nie wiedzą.

Niektóre gatunki ptaków innemi drogami ciągną na północ, a innemi na południe. Często jakiś szlak wędrówek ptasich rozdziela się, by na odległości kilkuset lub kilkudziesięciu kilometrów znów się połączyć. Stąd często można napotkać takie miejsco-

wości, w których pewne gatunki ptaków nigdy nie były obserwowane podczas, gdy w stosunkowo niedaleko leżących okolicach należą one do stałych gości przelotnych.

Jedne gatunki lecą gromadnie, często w nieprzeliczonych stadach, inne niewielkiemi stadkami, po kilka lub kilkanaście sztuk, inne wreszcie pojedyńczo. Do tych ostatnich należą drapieżniki. Gromadnie wędrujące ptaki, szczególniej zaś ptaki duże, jak to gęsi lub żórawie, najczęściej lecą określonym szykiem. Tak więc żórawie lecą powszechnie znanym „kluczem", który polega na tym, że dwa rzędy ptaków stykają się pod kątem ostrym. Ptak, lecący na przodzie, prowadzi cały klucz, ponieważ zaś ma on najcięższą pracę, gdyż musi przezwyciężać ogromny opór powietrza, więc też w kluczu ptaki kolejno w miarę zmęczenia zajmują to przodujące stanowisko. Podobnie lecą gęsi. Kaczki najczęściej wyciągają się w długie, równe sznury, w których pojedyńcze ptaki są wzajemnie od siebie o kilka stóp oddalone.

Niektóre gatunki odbywają podróż prędzej, nie zatrzymując się prawie, inne wędrują powoli często z kilkudniowemi przestankami. Naogół wszystkie ptaki, lecące wiosną, to jest powracające z zimowisk do swych rodzinnych miejsc, lecą daleko szybciej, jakby gorączkowo starając się dostać do swej ojczyzny, odwrotnie ptaki, ciągnące jesienią do krajów cieplejszych lecą powoli, zatrzymują się i często dopiero doprowadzone do ostateczności, to jest wyparte głodem i chłodem, wynoszą się na południe.

Dawniej sądzono, że wędrówki ptaków powodowane są nadchodzącą zimą i brakiem pożywienia. Pogląd ten okazał się fałszywym. W samej rzeczy dokładniejsze spostrzeżenia najwyraźniej im przeczą. Przedewszystkiem, o ileby głód zmuszał ptaki do przelotów, to powinnyby odlatywać wszystkie ptaki, tymczasem bardzo dużo ptaków zostaje na całą zimę, z drugiej znów strony odlatują ptaki wtenczas jeszcze, gdy pożywienia im niebrak, gdy jeszcze przez długie tygodnie mogłyby się swobodnie w kraju wyżywić. Wreszcie na wiosnę często przylatują ptaki wtenczas jeszcze, gdy pożywienia niema prawie zupełnie, niedługo szukając, za przykład możemy tu postawić naszego skowronka, przylatuje on w połowie lutego i często cierpi głód i chłód przez dwa lub trzy tygodnie, gdy tymczasem, przyleciawszy później, znalazłby więcej pożywienia. Wogóle sprawa wędrówek ptasich przedstawia się wielce tajemniczo, od najdawniejszych czasów uczeni zajmują się nimi, a dotychczas wiele zagadek, dotyczących wędrówek ptasich, pozostało nierozstrzygniętemi. Przed kilku dziesiątkami lat zaczęto w wielu krajach zakładać stacje spostrzeżeń, mające za zadanie badanie wędrówek ptasich. Wskutek działalności tych stacji wiele stron ciemnych tego zjawiska znalazło dostateczne naukowe objaśnienie. Tak więc przy pomocy właśnie tych stacji udało się wykreślić owe drogi ptaków. Dalej obserwacje wykazały, że podział na ptaki stałe, to jest pozostające stale w jednej i tej samej miejscowości przez cały rok i na ptaki wędrowne, jest niesłuszny. Niema bowiem prawie wcale takich ptaków, któreby u nas cały rok pozostawały, jedne wędrują o kilka tysięcy kilometrów, inne o kilkaset, kilkadziesiąt, są wreszcie takie, które zaledwie o kilkanaście kilometrów się posuwają, ustępując innym, nasuwającym się na ich miejsce z północy.

Wiele tym i tym podobnych spraw zostało już przez naukę rozstrzygnięte, ale daleko więcej pozostało pytań takich, na które nauka nie umiała dać dotychczas odpowiedzi. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, że wędrówki ptaków ściśle są związane z porą gnieżdżenia się i że wiele ptaków natychmiast po wyprowadzeniu piskląt leci znowu na zimowiska.

Być może z czasem, gdy już dokładnie będziemy wiedzieli, j a k w ę d r u j ą p t a k i, zdołamy odpowiedzieć na pytanie, d l a c z e g o p t a k i w ę d r u j ą, lub, ściślej mówiąc, objaśnić, dlaczego podczas, gdy olbrzymia większość ptaków podzwrotnikowych nie wędruje, prawie wszystkie ptaki krajów chłodnych i umiarkowanych należą do wędrownych. Tymczasem musimy poprzestać na stwierdzeniu, że zjawisko wędrówek ptasich jest zjawiskiem instynktu, to znaczy jest niezależne od świadomości i woli samych zwierząt.

Witold Lubicz.



Orlą percią.

Pod nami wstęga wód w dolinie aż po pod turnie Żabiego wije się, to połyskując swą srebrną łuską w słońcu, to ginąc wśród mroków gąszczów i skał granitowych. Nad nami przestwór bez końca, pełen blasków słonecznych, faluje jakby morze, przelewa się z wyżyn w dół aż do ziemi.

Posuwamy się wązką, ledwie dostrzegalną percią wśród morza zielonych kosówek. Jeno tu i tam przytulone do skał lub zboczy limby, poszarpane niemiłosiernie przez wichry, hulające po tych pu-

stkowiach, wysterkają nad kosówką, chylą się nad przepaściami, czepiając się rozpaczliwie opoki swywi obnażonymi korzeniami.

Wreszcie dosięgamy Szczytu Wołoszyc. Znów widok przepyszny daleko, hen, bez końca... Na południu cały w blaskach skąpany leży przed nami łańcuch Tatr Wysokich od Hrubego i Krywania aż po Bielskie Wirchy: Hawrań i Murań, Rysy, Wysoka, Durny, Starolena, Garłach, Królowa Tatr, Łomnica i potężny swą skalistą formacją, ośnieżony cały — Lodowy.

Wszystkie te skalne olbrzymy piętrzą się i wyciągają swe ramiona w postaci żlebów, złomiskami usypanych, aż w dzikie doliny i wąwozy,



Ganek i Garłach.

przepaściste kotliny, gdzie oko ludzkie sięgnąć zaledwie może. A dalej od północy i wschodu dolina Nowotarska — Ziemia Podhalańska — pełna dziedzin rozrzuconych, pól rolnych, łąk zielonych, zamieszkana przez lud zręczny a zamożny,—a tam na horyzoncie znów góry i góry, na zboczach jeno nie piarg, lecz różnobarwna szachownica pól i lasów. I tak wokoło rozciąga się ta ziemia nasza kochana, te pola i lasy, wsie i kościoły, góry i doliny, grody i miasta—kraj ludny a obszerny, żyzny a bogaty, oby też szczęśliwy! Żyje w nim, tętni jeszcze tradycja dawnych wieków, potężniejszych władców, gdy ziemice ich od Tatr aż po Bałtyk rozścielone kwitły w dobrobycie i wolności powszechnej. Żyje tradycja tych mocarnych rycerzy bez skazy, a przodków naszych, co przez siłę ramienia i siłę ducha, twardy jak stal charakter za wzór być mogli stawiani nie jeno u nas, lecz po obcych krajach i dworach. A dzisiaj budzi się duch wolności i silne pragnienie powrotu czasów dawnych, a odrodzenia ludzi owych, a kształci się wola potęgi i rozkwitu! Od szczytu wiodła perć granią to spadając w przełączki, to pnąc się po turniach i złomiskach skalnych. Po drodze posililiśmy się pod przewieszką skały i ruszyli dalej przy zmienionej już jednak pogodzie. Słońce znikło, góry pociemniały, rzucając jeszcze gdzieniegdzie ponure cienie na doliny. Na Lodowym osiadła ciemna łoksuta chmur, a z dolin poczęły wypełzać mgły szare i powoli zakrywać lasy, kosówki, turnie — wreszcie cały krajobraz. Wśród turni kończastych przewalać się poczęły mgły, ogarniać nas i przenikać drobnym pyłem wodnym... Nagle dał się słyszeć, jakby z pod skał wychodzących, gwizd przeciągły... raz... drugi... trzeci. Pochyliliśmy się nad przepaścią i niewyraźnie wśród mgieł spostrzegli sunące po zboczu maleńkie jakieś stworzonka... To świstaki, chroniące się przed ulewą. Rzadkość to dziś już wielka, nawet wśród dzikich skał i turni, komu udało się je ujrzeć, uważa to sobie niejako za dobry znak.

Szliśmy dalej ku Krzyżnemu. Jeszcze jedno przejście, jedna przepaść pod nogami, jeden przejazd na oklep po wązkiej grani i jesteśmy na Krzyżnym. Niedaleko już ztąd do hali: jeszcze zejście po piargach, później dolina, las i hala. Byliśmy tam przed samym wieczorem. Cudny był ten wieczór w górach, niezapomniany dla mnie... Przy kwaśnym mleku siedzieliśmy, słuchając opowiadania starego bacy z hali o tym Gąsienicy, ,,co hań, drzewiej, kaj króle polskie na stolcu w Krakowie siedziały, zakopał hań u Walowej Góry zboże, dziedzine, te pirwso postawił i Zakopiskiem przezwoł. A miał on zaś przyodziwek taki, co cały calusinecki byłk w pstre pasy, i portki, i cucha, i syćko. I hań od tego zaś Gąsienicy, bo jako Gąsienica wyglądał w tech pstrech pasach, przezwisko nosi, a syckie prawie górale Gąsienice sie zwo''. Stary prawił jeszcze wiele baj, co to każde ich słowo dziś prawie złotem się płaci, by nie uronić i najmniejszego szczegółu z legendy i życia Tatr.

Dnia następnego przebudziliśmy się z pierwszym brzaskiem i w dalszą wyszliśmy drogę. I znów mozolna droga pod górę, ku wstającemu dopiero słońcu. Droga względnie łatwa, tylko ścieżka gubi się ustawicznie wśród złomisk i usypisk.

Nachylamy się co chwila, by zbadać, którędy właściwa idzie ścieżka, a nie perć owcza. Boć nieraz zapędzić się można taką percią, nadłożyć drogi, a co gorsza, dostać się w nawet w jakieś niebezpieczne operacje, skąd wydostać się trudno.

A że perci tych wije się tu po zboczu cała pajęczyna, wcale nie jest rzeczą łatwą właściwą odnaleźć drogę. Nasza ścieżka szła jednak wyraźniej w górę, niż owcze percie, i to było dla nas wskazówką.

W górach zdaje się łatwa orjentacja, gdy z daleka patrzysz na nie, ale gdy znajdziesz się między złomiskami skał, które piętrzą się jedne nad drugimi, a jeśli jeszcze dokoła masz kosówkę, a szczytów, na które dążysz nie widać—łatwo stracisz nietylko drogą właściwą, ale wprost orjentację.

Nieco wyżej już pod szczytem było kilka trudniejszych przejść, lecz to dopiero początek. Od pierwszego szczytu,któregośmy dosięgnęli,droga wiodła wciąż po graniach i szczytach; poczęła się perć iście orla. Co chwila przepaście tuż pod nami otwierają swe głębie, skalne ściany zagradzają drogę.

Gdy kto niezwyczajny tego, musi użyć całego panowania nad sobą, całej siły woli, by przezwyciężyć w sobie tę wrodzoną człowiekowi obawę przestrzeni i niebezpieczeństw. Gdy stajesz nad przepaścią parę łokci szeroką i mówią ci, że masz ją przebiegnąć u wylotu lub u kominka, którym masz się w dół spuścić, jakiś dreszcz cię przebiega. ,,To prawie niemożliwość'' — myślisz. Wyobrażasz sobie wtedy, jak to będzie wyglądało, jak ci się noga pośliźgnie, jak stracisz grunt pod nogami, jak będziesz się chwytał kamieni, które z pod rąk ci się będą usuwały, jak polecisz głową na dół, rozbijając się o ostre skały; a na dnie legnie twe ciało w mroku wilgotnym przepaści. Trzeba to przezwyciężyć, trzeba w sobie się skupić, natężyć cały swój organizm. Świetna to próba panowania nad sobą, skupienia, siły, woli, energji!

Jedyna myśl, uparta, że pokonam tę przeszkodę, że przepaść przebędę, powinna ci przewodzić. A jeżeli musisz obmyślić, jak to wykonać, musisz s ę zorjentować w położeniu, potym ocenić twe siły i środki, jakie będziesz stosował dla pokonania przeszkody, czy lina ci będzie potrzebna, czy czekan, czy raczej bez nich się obejdziesz. Walka człowieka z naturą. Wyrobienie hartu w człowieku może być jej skutkiem. Człowiek oblicza swe siły, gotuje się do czynu, rozwijając swój spryt, pomysłowość i siły ducha i ciała — natura czeka pewna siebie, ponura, zawzięta, zadumana, oczekująca, czego pragnie od niej ten śmiałek, gotowa w każdej chwili na niespodziankę. Bo niech się obsunie głaz, o który§ zaczepił linę, niech ci się w głowie zakręci, niech lina odmówi posłuszeństwa i niespodzianka gotowa. Ale do dziwów przecież nie należy, że człowiek pokonywa naturę! Wszystko on pokona, wszędzie się wedrze, wszędzie drogę znajdzie! Dziś już niema szczytu w Tatrach, na który się jeszcze nie wdarł człowiek. Żelazne klamry ułatwiają tu podróżnikowi drogę w miejscach najtrudniejszych, drabinki zwisają nad przepaściami, drogę znaczą czerwone znaki na głazach.



Na Grani.

Tymczasem czyste dotąd niebo zanosiło się chmurami, słychać było oddalony łoskot gromu...

Deszcz lunął, zagrzmiało, echem powtórzyły góry...

Ten kto nie przeżywał burzy na grani, szczycie lub turni, nie wie, co to jest burza w górach. Jesteś wtedy niby we wnętrzu żywiołu. Dotykasz się prawie błyskawic. Mógbyś mieć złudzenie, że to ty je zapalasz i ciskasz w dół na doliny. Cała walka żywiołu odbywa się jakby o kilka kroków od ciebie. A ty otoczony chmurą, nie widzisz prawie nic. Z półmroku wychylają się ostre kańciaste, ponure, sczerniałe sylwety skał, a między nimi tu i tam z jakowejś wilgotnej czarnej rozpadliny wybuchają całe kłęby chmur, rozwłóczą się jak ciemne dymy, rozbijają fantastycznie po skałach i rozpływają w ogólnej szarzyźnie chmur. Każdy odgłos gromu, powtarzany tysiącznym echem, tworzy jedną gamę. Wokoło istne piekło.

Szukać sobie trzeba schronienia i to bardzo pośpiesznie, boć podczas burzy wśród mgły, tutaj na grani każdy dalszy krok można przypłacić życiem. Wywęszyć trzeba takie schronienie, co nie jest wcale łatwym. Trzeba znać góry, umieć w nich czytać, gdzie odkryć można przewieszkę, a gdzie kolibę, co przed deszczem zasłoni. Ale taki znawca Tatr był między nami i jemu zawdzięczamy, że niedługo siedzieliśmy już w niewielkiej kolibie popod samą granią. Ale i tu walkę musieliśmy staczać z naturą! Całe potoki wody deszczowej, wijące się wśród złomów, rozpędzone strumienie, które się w oczach prawie tworzyły, poczęły się wciskać do naszego schronienia. Nie pomogły tamy i kamienie. Niezadługo na dnie koliby było już małe jeziorko, a my siedzieliśmy skuleni, przytuleni, do bocznych głazów, po których ciurkiem ściekała woda. Nie było żadnej racji dłużej siedzieć w kolibie. Wyszliśmy na deszcz i rzędem pod ścianą skalną przeczekaliśmy nawałnicę. Na Kozi Wirch już było niedaleko.

Zziębnięci, przemoczeni stajemy na Kozim. Chmury dokoła, nic nie widać na kilka kroków. Tylko tam, nad Miedzianym, chmury rozerwane, jakby okno, a przez nie przedzierają się słońca promienie, jasną plamą ozłacają Pięć Stawów. Pawią się one tak cudownie, że trudno oczu oderwać. A przez okno w dali widać jasny, świetlany obraz: doliny węgierskie skąpane w powodzi światła, blasku, otoczone szarą ramą mgieł.

Obraz to jednak już ostatni piękny, podczas tej wycieczki.

Chmury tak zakryły wszystko, że dalsza droga stała się niebezpieczna nie na żarty; pozostała nam bowiem do przejścia przy takich warunkach bodaj czy nie najgorsza część drogi. Szczęśliwie wdrapaliśmy się, i to zupełnie nową drogą, którą nikt dotychczas nie wchodził—na niedostępną Zamarłą turnię, przebyliśmy żleb Koziej przełęczy, wiecznie śniegiem zasłany, gdzie promień słońca jest rzadkim zjawiskiem. Trzeba tu było kilkakrotnie używać liny wiązanej węzłami ,,tatrzańskimi'', a raz nawet spuszczać się wprost pojedyńczo na węźle ratowniczym. Nakoniec stanęliśmy na Zawracie, czyli byliśmy prawie w domu?

Zaczęliśmy się dalej spuszczać Zawratem, gdy uwagę naszą zwróciły niezwykłe w górach głosy większej ilości ludzi, dochodzące z za skały, za którą ciągnie się obszerne pole śniegowe. Zboczyliśmy na prawo i okrążywszy skałę, wydostaliśmy się u wierzchołka pola śniegowego, które z kilkoma przerwami ciągnie się aż po Zmarzły Staw, a więc dobre 200 metrów, tymbardziej rozległe, że w tym roku wyjątkowo wielkie śniegi zalegały i uniedostępniały Tatry. Mniejwięcej w połowie owego pola, u stóp niewielkiej skałki grupa ludzi była czynnie zajęta.



Wielki Staw.

Jeden rzut oka wystarczył, byśmy się przekonali, że było to Tatrzańskie Pogotowie Ratunkowe przy pracy.

Poczęliśmy się ostrożnie zsuwać po śniegu ku owej grupie ratowniczej. Niechaj się to nie wydaje tak prostą rzeczą, boć nie można zapominać, że chodzenie po wiecznych śniegach tatrzańskich, nie jest wcale zbliżone do zjeżdżania na saneczkach po torze czy stoku góry, ale jest to uciążliwe i często zmudne zajęcie, szczególniej, gdy pod stopami masz przepaść, poszarpane skały lub taflę jeziora. Pola wiecznego śniegu w górach to raczej pole lodowe, lodowiec twardy, gładki, oślizgły. Trzeba wyrąbywać stopnie, używać czekana, ciupagi lub liny; nogi stawiać na zmianę — byle się nie ,,pomyliły'', bo wtedy możemy się znaleźć w kłopocie i niebezpieczeństwie! Szczęśliwie ssunęliśmy się po śniegu, aż do grupy ratunkowej, która się składała z kilku górali i kilkunastu taterników. Ratowany widocz-

nie zsunął się po tym polu śniegowym, po którym myśmy schodzili i rozbił się o skałę, u której stóp go znaleziono.

Właśnie kilku członków pogotowia było zajętych cuceniem zemdlonego i bandażowaniem głowy, która najwidoczniej musiała być mocno poraniona, bo z pod bandaży i powijaków ledwo twarz wyglądała, a chory miał oczy zamknięte. Tymczasem inni rozwijali liny i szykowali nosze.

Rannego ocucić, opatrzeć to rzecz drobna, ale niesienie dopiero to — sztuka. Nosze są elastyczne, lekkie, wązkie i dość długie, podtrzymywane muszą być nietylko z przodu i z tyłu na pasach lub linkach, ale i z boków przez kilku ludzi w celu utrzymania lepszej równowagi i dla przeciwdziałania silnemu wahaniu się — z powodu nierówności terenu.

Przed odmarszem zauważyłem, że kilku członków pogotowia oddzieliło się od grupy, udali się oni w dół ku Czarnemu Gąsienicowemu. Jak się później okazało, rozstawiali oni pewnego rodzaju sztafety, przyczym każdy posterunek zmieniał tych ratowników, którzy niesieniem byli zmęczeni. Niezadługo cała kalwakata ruszyła w dół ku Zmarzłemu. Nosze niosło czterech ludzi, a po trzech z każdej strony podtrzymywało; jeden z tych podtrzymywał głowę chorego. Przodem postępował naczelnik pogotowia z czekanem w ręku, przewiązany zwojem lin w niewielkim kapeluszu z opadłemi skrzydłami z twarzą ogorzałą, i przenikliwemi stalowemi oczami — dzielny typ odważnego, na wszystko gotowego człowieka. Wybierał co najlepszą i najwygodniejszą drogę, znając tu zapewne każdą skałę, każdy głaz, każdy kamień. My postępowaliśmy z tyłu.

Z rozmowy z jednym z Górali, a moim sąsiadem z Bystrego, okazało się, że przy tym wypadku pogotowie miało względnie niezbyt ciężką pracę. Wiadomość przybyła do Zakopanego szybko bo w 2 godz. zaledwie, a po zmobilizowaniu się w ciągu niespełna $^1/_2$ godz., w 3 godz. Pogotowie było już na miejscu wypadku, które odnaleziono z łatwością. Bywają jednak wypadki, że odnalezienie ofiary jest bardzo utrudnione przez brak wskazówek, gdy wędrowiec był samotny, lub przez trudności terenowe. Boć przecież tam się zwykle trafiają wypadki, gdzie są jakieś trudniejsze przejścia. Cóż dopiero więc mówić o ratowaniu w takich okolicznościach? Trzeba użyć wtedy całej energji, wytrwałości, sprytu, zręczności i siły, by trudności te pokonać, mieć trzeba znajomość gór, jakby specjalny ,,zmysł gór''. Toć czasem w ciągu całych tygodni trwają poszukiwania. Pędzi się wtedy w górach wprost koczownicze życie.

Ponieważ cały pochód zatrzymał się na dłuższy odpoczynek przy Zmarzłym, a my nie na wiele byśmy się nadal przydali, ruszyliśmy zdwojonym krokiem ku Czarnemu Gąsienicowemu. Nogi nas same niosły, zsuwaliśmy się po piargach, przeskakiwali głazy, jakby istne kozice, skracając sobie drogę na przełaj bez zakosów tak zwanemi skrótami i owczemi perciami. Tylko słychać było szczęk lasek i butów podkutych, powtarzany echem o skały Kościelca. Nie obejrzeliśmy się, jak okrążyliśmy Czarny Staw, minęli Halę Gąsienicową, wspięli na przełęcz Królową i po Upłazie Skupniowym i Nieboraku spuszczać się zaczęliśmy ku Kuźnicom. W lesie robiło się ciemno. Tu znaliśmy już jednak każdy ,,skrót leśny'', każdą perć, każdy kamień. Szczęśliwie i wesoło dotarło się niejako piorunem do Kuźnic, gdy już zaległa noc zupełna.



Hawrań i Murań.

Staszek Ster z pod Nosala.

□□□□□□□□

Prometeusz indyjski.

Życie człowieka pierwotnego nie było wcale sielanką, zwłaszcza w strefie umiarkowanej lub zimnej. Ni dachu nad głową, ni odzieży na grzbiecie, ni obuwia na nogach nie miał ten biedny nieradny nasz protoplasta, a surowe mięso, zapijane zimną wodą stanowiło jego niewymyślne menu.

Decydujący przewrót w jego życiu sprawiła umiejętność posiłkowania się ogniem. Ten potężny żywioł pozwolił mu na nowe, zasadniczo odmienne tory poprowadzić życie, więc też sprawa ognia wybitne wycisnęła piętno na umysłach ludzi pierwotnych.

Oddanie w ręce ludzi płonącej żagwi otoczono aureolą mitów i podań, a że według klasycznej greckiej opowieści miał ten dar doręczyć rodowi ludzkiemu tytan Prometeusz, mity więc o zdobyciu ognia nazywane są mitami prometejskimi.

Ogień był własnością bogów, własnością strzeżoną zazdrośnie. Trzeba było ten skarb bogom wy-

drzeć, za co mścili się oni okrutnie, przykuwając Prometeusza do skał Kaukazu, gdzie codziennie orzeł wydzierał mu wątrobę, która przez noc odrastała, a następnego dnia powtarzały się męczarnie.

Mit prometejski istnieje u wielu ludów rasy aryjskiej i zawsze są w nim te zasadnicze rysy: zazdrość bogów, poświęcenie się człowieka dla dobra współbraci, zemsta okrutna bogów i wreszcie ocalenie bohatera.

W legendzie greckiej Herkules zabija drapieżnego orła, a skutemu Prometeuszowi przywraca wolność.

Ciekawą jest bardzo rzeczą, że u Indjan czerwonoskórych, którzy przed Kolumbem nie mieli żadnego kontaktu z kulturą nadśródziemnomorską, istnieli oni w stosunkach przyjaznych, a wielki ich wódz Neopit Oskosh cieszył się wielką powagą.

Rząd Stanów Zjednoczonych zawarł z Oskoshem traktat, mocą którego plemię odstąpiło terytorja nad Michiganem, a objęło wyznaczone im rezerwacje nad Fox Creek, gdzie dotychczas mieszkają.

Przenosiny te zgubnie oddziałały na plemię, liczba głów bowiem zmniejszyła się do 1300.

Wśród Menominich spędziłem cały tydzień i szczęśliwie trafiłem na uroczystości pogrzebowe starego Oskosh'a, u którego mogiły odbył się zjazd indyjski i tańce obrzędowe. Bogaty materjał naukowy z życia Menaminich opracował Alanson Skinner, uczony nowojorski, i z jego to pracy mit o Prometeuszu zaczerpnąłem.



Wigwam Menominich w. st. Wisconsin. *Ze zbiorów p. Al. Janowskiego.*

je też u różnych plemion mit prometejski, co dowodzi, jak dalece ogólno ludzką była zagadka zdobycia ognia i zrozumienie, jakich to wymagało ofiar.

I tu człowiek ofiarny poświęca się dla braci, cierpi dotkliwe kary za swoje poświęcenie, ale nie cofa się przed ofiarą, dla dobra bliźnich poniesioną.

Piękną legendę prometejską posiadają Indjanie plemienia Menomini w zlewisku Wielkich Jezior, o tyle ciekawszą od innych, że bohaterem jej jest nie olbrzymi tytan, lecz mały chłopiec indyjski.

Plemię Menominich zamieszkiwało pobrzeża zatoki Green Bay, odnogi jez. Michigan. Liczyło ono około 4000 głów, a zajęciem ich było rybołóstwo w jeziorze i jego dopływach, oraz myślistwo w otaczających jezioro puszczach. Z białymi pozostawa-

Mänäbush był jeszcze młodym chłopcem, gdy rzekł do swej babki Nokömis: ,,Strasznie tu jest ludziom zimno, babko, nie mamy ognia, pozwól mi pójść po ogień''.

Stara, siwa Nokömis starała się odradzić wnukowi tak niebezpieczne przedsiewzięcie, lecz chłopiec nalegał, staruszka więc zgodziła się nareszcie.

Mänäbush zrobił łódkę z kory, zamienił się w królika i przez olbrzymie wody popłynął na zachód, gdzie mieszkał mądry starzec, jedyny, który posiadał ogień.

Gdy Mänäbush dopłynął do wysp, noc jeszcze panowała. Chłopiec wysiadł na ląd i szedł długo, długo, aż nareszcie stanął przed świętym wigwamem mądrego starca.

Starzec miał dwie córki, a gdy te o świcie wyszły przed wigwam, spostrzegły zziębniętego królika

i troskliwie zaniosły go do świętego wigwamu, dokąd nikomu nie wolno było wchodzić.

Królik podpełznął blisko do ognia, a gdy dziewczęta wyszły do swych obowiązków, chwycił płonącą głownię, lecz raptownie ziemia zadrżała, a mądry starzec obudził się i zapytał: „Moje córki, jaki jest powód tego hałasu?”



Wódz Indjan „Menomini” z żoną.

Córki odpowiadały, że nikogo obcego nie ma, a przy ogniu grzeje się tylko mały zziębnięty królik, którego znalazły przed wigwamem.

Gdy starzec zasnął znowu, a dziewczęta wyszły, Mänäbush chwycił śmiało głownię i popędził ku swojej łodzi. Starzec i jego córki puściły się w pogoń, lecz chłopiec dopadł już do czółna i całą siłą wiosłując, płynął ku wigwamowi swej babki.

Pęd powietrza rozpalił głownię, zapaliło się ubranie chłopca, poczęła płonąć łódź, zrobiona z kory, on jednak mężnie wiosłował dalej, widząc czekającą u brzegu Nokömis.

Z popaloną skórą, napoły martwy wyskoczył Mänäbush na brzeg i runął do stóp babki. Ta porwała płonącą żagiew do wigwamu i rozpaliła ognisko. Było to pierwsze ognisko w plemieniu Menominich.

Stara Nokömis zajęła się potem poparzonym wnukiem. Cudowna moc ziół przywróciła mu zdrowie, chociaż długi czas walczył ze śmiercią, a święte Ptaki Gromu rozniosły ogień po wszystkich krańcach świata, aby ludziom było dobrze.

Al. Janowski.

Mój egzamin na III stopień.

Trochę, wyznaję szczerze, mi niesporo pisać o sobie i przytem zupełną prawdę. O sobie? właśnie tak o sobie, o moim egzaminie na stopień III. Dziś jednak, gdy ze srebrnej lilijki jestem dumny i chcę wobec samego siebie czuć, że mam najzupełniejsze prawo ją nosić, przypominam to sobie z uśmiechem. Ale gdybym tak zaraz w chwili, gdy to na mnie spadło, opowiadał, pewnie byłbym spłonął wstydem. Ale przecież miałem czego się zawstydzić! Zapragnąłem gorąco zostać harcerzem. Patrzałem z zazdrością (nie bierzcież mi tego, druhowie, za złe) na wesołe miny harcerzy, jak wędrowali na wycieczkę, ale to nie wszystko! Opowiem wam coś, co istotnie widziałem. Raz na Zjeździe, tak, na Zjeździe to było, jeżeli dobrze pamiętam, szła lichą okryta chustką kobiecina i niosła worek kartofli na plecach... Uginała się i z zaparciem, zwyczajnie, jak to bywa u ludzi, co z żyli się z koniecznością biednego swego żywota, dźwigała ciężar. Naraz do niej przystąpił jakiś chłopiec,— i czekał chwili, gdy wyczerpana dla odpoczynku worek złożyła na chodniku. Wówczas chwycił worek i niósł, niósł pod górę w pocie czoła, a jakoś lekko aż ku Krakowskiemu. Tu oddał worek kobiecinie, i to z taką miną poważną, z takiem zadowoleniem, że zatrzymałem się na chwilę i przyglądałem mu się z uwagą. Chłopiec swoją drogą powędrował, na nikogo się nie oglądając, a baba pokiwała głową ze zdziwienia, dźwignęła swój ciężar, szepnęła drżącemi wargami kilka słów i powlokła się w przeciwną stronę.

Ulżył ciężaru! Pomógł!—pomyślałem. Czułem we własnem sumieniu, że „on” zrobił dobrze. Kto go tego nauczył? Zauważyłem, że miał „czuwajkę”: harcerzem musi być!

Gdy mię dopuszczono do zastępu, wtedy dopiero szerzej, głębiej zrozumiałem, o co chodzi. Ale czy zupełnie? Nie tak to łatwo odrazu stać się

harcerzem, ale trzeba jednak koniecznie chcieć się zmienić, a z czasem przyjdzie to samo przez się. Zdawało mi się nareszcie, że mogę już stanąć do próby na III stopień. Chciałem wraz z innemi do wieczystej zapisać się służby, ochoczo gotowy byłem spełnić wszystkie obowiązki, jakie ta ochota na mnie wkładała. Myślałem jednak wiele bardzo o tem, co to ja będę kiedyś robił!... Ale oto egzaminator żąda ode mnie wytłumaczenia, czy dość jest rozumieć i umieć prawo harcerskie.

Trochę się zasępiłem. Myślę sobie, czego egzaminator, świecący złotą leliją ode mnie wymaga. Nauczyłem się „praw harcerskich", rozumiałem obowiązki moje, dalej chcę być harcerzem, więc?...

Wiem, żem się często—gęsto bronił, ale zauważyłem, że mimo wszystko egzaminator za wiele mówił o bagatelach takich, jak spóźnianie się, odrabianie lekcji i t. p.

Wiedziałem o tem wszystkiem, bo przecież gadał zastępowy, ale ja marzyłem głównie o mojej przyszłości dalekiej, egzamin tom sobie jako wstęp do niej pojmował, a ten egzaminator ci mię za nogi ściąga na ziemię. No! wreszcie wybrnąłem. Już kazał mi dać kartkę, patrzałem pilnie, co pisze: „zdał"!—Dobrze!—myślę. Tłok przy stoliku egzaminatorskim był duży, bo wązkie przejście, a tu w kolejkę, czy tam w ogonek się chłopaki ustawiły. Nagle patrzę, stoi Stefek. Znaliśmy się jeszcze z budy początkowej. Nie jeden kawał z nim spłataliśmy. Zresztą lubiłem go, bo zawsze potrafił coś wymyślić, czy jaką nową zabawę, czy grę, wesoło w jego towarzystwie nam czas zlatywał.

Trąciłem go, podaliśmy sobie dłonie.

— Zdawaj prędzej, to zrobimy sztabę—mówię— i wyjdziemy razem!

— Kiedy tłok, a zdawanie jakoś się wlecze!— odparł.

Spojrzałem na stojących chłopców, ale widać, że i im się też sprzykrzyło stać i nagle zaczęli się pchać i ze wszystkich stron obstąpili stolik. Egzaminator wstał, aby ich uspokoić.

A ja myślę: — Co gorszego Stefek? Wyprzedzą go i będę musiał do wieczora na niego czekać!—

— Chodź! Pchaj się!—rzekłem. Zawsze ja tam od niego byłem silniejszy, on pomysł dawał, ja wykonywałem. Liczyć mógł na moją pięść niezawodną. Zrobiłem Stefkowi miejsce, a tu egzaminator kazał mi pokazać kartkę.

Daję, lecz poco, myślę sobie.

Za pchanie się kazał mi napisać przed zdał, „nie". Trochę się we mnie zagotowało.

— Jakto wszystko napróżno?—przemknęło mi przez myśi.

Naturalnie wytłomaczył mi egzaminator, że zdanie egzaminu obowiązywało mię do wykonania prawa, a pchanie się...

Dziś na wspomnienie to niebardzo mi się tam robi na sercu. Zresztą nie wiem, jak to powiedzieć. Wtedy jednak oburzony byłem zły, że, nie czekając na Stefka, wybiegłem na ulicę. Wrzało we mnie. Sam, sam musiałem napisać: „nie"! Pchałem się? Chciałem, byśmy ze Stefkiem mogli jak najprędzej razem pójść! A ten stopień III, aha, na dachu wróbel, uleciał ciurkając. Chciałem już jakieś słowo powiedzieć, gdy, nie wiem kiedy, zagwizdałem. Eh, coś mi nagle zaświtało w głowie: on (egzaminator) miał słuszność! Pchałem się. „W każdym najmniejszym szczególe okaż się harcerzem"! Pchałem się. Ale oczy wybałuszone Stefka, trochę w uśmiechu rozchylone usta w chwili, gdy pisałem „nie", a „przez skórę" widziałem jego twarz, nie dawały mi spokoju.

Pędziłem przed siebie nie wiedzieć poco i jak długo. Wtem podniosłem oczy i spojrzałem z Placu Zamkowego, na którym właśnie stałem, ku Wiśle. Jakiś tramwaj niemiłosiernie skrzypiał, podnosząc się ku Krakowskiemu-Przedmieściu. Nagle przypomniał mi się ów obraz z przed kilku miesięcy.

Zobaczyłem jakby znów owego harcerza tu u tej cukierenki, co na rogu jest Placu Zamkowego, jak z niedowierzeniem spoglądającej babie oddaje worek z kartoflami, jak jeszcze pomaga jej zarzucić na plecy; jak nie ogląda się na nikogo, jak nie szuka oczyma niczyjego podziwu i wędruje dalej. Spełnił ochoczo i radośnie ot taką bagatelkę.

A ja? tak, pchałem się. Chciałem być przed innymi pierwszy!

Wstyd nagle oblał mi twarz. I przyszła mi myśl do głowy, że na takiego druha to może ojczyzna i wszyscy liczyć. On wszystkim dopomoże i tam właśnie, gdzie trzeba, a nie tak, jak ja Stefkowi ze szkodą ogólną.

Ale zarazem, zacisnąłem mocno pięści i postanowiłem być harcerzem, istotnie harcerzem i zasłużyć na przypięcie „czuwajki". Gwizdałem sobie przytem wesoło, w tak dobry humor wprawiło mię to postanowienie!

No, i dziś mam już srebrną lilijkę.

opowiedział *Józwa.*

□□□□□□□□

RATOWNICTWO.

ZE WSPOMNIEŃ HARCERKI.

Raz mi się zdarzyła bardzo ważna kuracja, nawet sam doktór mówił, że to „poważna sprawa". Była u nas służąca, Jagusia, której nie lubiłam, bo mamusia nazywała ją brudasem, ale później polubiłam ją. Otóż tej Jagusi zrobiła się na nodze maleńka krostka, którą zdrapała. Wtenczas na tym miejscu zrobił się strupek. Powstał on wskutek tego, że z brzegów ranki wydzieliła się krew i limfa (b. lepka ciecz, jak klej), a te pomieszane razem

utworzyły twardą i naturalną ochronkę. Strupka nie należy nigdy zdrapywać, ale Jagusia o tym nie wiedziała. Po kilku dniach noga tak ją bolała, że nie mogła włożyć bucika i wtenczas dopiero przyszła do mnie.

Noga spuchła bardzo, a gdy zaczęłam omywać ją i nieostrożnie nacisnęłam okolicę ranki, poczęła się gwałtownie wydobywać materja. Jeszcze nigdy nie widziałam tak dużo materji. Przeraziłam się też, gdy po oczyszczeniu ranki i wyciśnięciu wszystkiej materji, wyczułam pod skórą próżnię.

Nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności poszłam z Jagusią do doktora, który przestraszył nas, mówiąc, że to ,,poważna sprawa'' i kto wie, czy się bez operacji obejdzie. Tymczasem kazał przykładać kompresy z wody Burowa.

Wzięłyśmy się gorliwie do kuracji: 3 razy dziennie zmieniałyśmy kompresy, które zakładałam tak, jak doktór kazał. Po dokładnym oczyszczeniu otworu wrzodu, przykładałam nań zmaczaną w wodzie Burowa watę, którą pokrywałam ceratką, a następnie bandażowałam lub owijałam rogówką (chusteczką trójkątną).

Gdy po raz wtóry powędrowałyśmy do doktora, pocieszył nas mówiąc, że uniknęłyśmy operacji dzięki starannemu, a przedewszystkiem czystemu pielęgnowaniu.

Teraz Jagusia zrozumiała, jak wielką rolę odgrywa w życiu czystość. Odtąd myła ręce po każdej robocie, nosiła czyste fartuchy, a mamusia przestała już nazywać ją brudasem.

* * *

Któregoś dnia rano obudziła mię Jagusia. Żdziwiona byłam tym bardzo, gdyż budziłam się zawsze sama o 7-ej, tymczasem było dopiero kilka minut po 6-ej, gdy Jagusia weszła do pokoju i, przysunąwszy się do mego łóżka, poczęła szeptać: ,,Panienko kochana, nasza staruszka w suterynie bardzo zasłabła, pewnikiem sie zacadziła!'' Po kilku minutach byłyśmy już w suterynie. Poczułam przedewszystkiem przykry bardzo zapach czadu, a w głębi stancyjki ujrzałam leżącą w ubraniu staruszkę, widocznie nie rozebrała się wczoraj. Wyniosłyśmy ją do sieni i ułożyły na wyciągniętym przedtem sienniku.

Uwolniwszy staruszkę od krępującego ją ubrania, ułożyłyśmy ją wygodnie nawznak. Wtenczas ujęłam ją za obie ręce (powyżej łokci), i podniósłszy ją do góry, opuszczałam powoli dotąd, dopóki zgiętemi w łokciach rękami własnemi staruszki nie dotknęłam jej z obu stron klatki piersiowej; powtarzałam ten sam ruch do góry i nadół kilkadziesiąt razy (sztuczny oddech). Jagusia tymczasem klęczała obok i podawała chorej zwilżoną w eterze szmatkę do wąchania. Po kilkunastu minutach pacjentka moja otworzyła oczy i głęboki oddech wydobywał się z jej piersi. Miałam ogromną ochotę poskakać z radości, lecz mi na to nie pozwalała rola ratowniczki.

Po pewnym czasie przeniosłyśmy staruszkę do wywietrzonej już izdebki. Jagusię posłałam po butelki z gorącą wodą, sama zaś podawałam chorej bardzo mocną herbatę do picia. Gdy Jagusia wróciła, obłożyłyśmy chorą butelkami i otuliły kołdrą. Było już późno, musiałam więc śpieszyć się do szkoły, choć przyznam, że z żalem odchodziłam.

Wróciwszy z pensji, odwiedziłam swą pacjentkę, miała się już dobrze. Mamusia posłała jej w południe mocnego rosołu, a to ją bardzo pokrzepiło. Usiadłam przy łóżku i zagadnęłam o przyczynę wypadku.

Starowinka odpowiadała, że nie wie, co się to stało, prawda, że wczoraj przymknęła szyber, ale to przecież codziennie robi.

To mi odrazu całą sprawę wyjaśniło. Pamiętałam, jak doktór mówił, że przy spalaniu węgla w dostatecznym dostępie powietrza wytwarza się kwas węglowy, który po przez komin wydostaje się na zewnątrz.

Gdy zaś dopływ powietrza jest niedostateczny, a co za tym idzie i odpływ gazów spalinowych, powstaje miast kwasu węglowego — tlenek węgla — czad. Jest on ogromnie szkodliwy, gdyż łącząc się z hemoglobiną czerwonych ciałek krwi, niszczy je i tym sposobem zatruwa nasz organizm.

Staruszka widocznie zawcześnie zasunęła szyber i to spowodowało wytworzenie się czadu, który jej taką krzywdę wyrządził.

* * *

Przyszła wreszcie piękna wiosna, a po niej lato słoneczne, z nim zaś upragnione wakacje. Wyjechaliśmy na wieś.

Były to moje najmilsze wakacje. Dotąd bowiem wyjeżdżałam z rodzicami corocznie za granicę, poznałam więc wiele miejsc kuracyjnych obcych, nie znając własnych, nie znając nawet zwyczajnej polskiej wsi. Lecz dotychczas nie czułam się pokrzywdzoną z tego powodu; dopiero, gdy na lekcji krajoznawstwa nauczyciel poruszył sprawę poznawania ziemi ojczystej, gdy mówił o piękności naszych pól, lasów i gór, uczułam dziwny żal, że ja tego wszystkiego nie znam, że widziałam jeno z daleka, przez szybę wagonu, jadąc podziwiać inne obce cuda.

Uprosiłam rodziców, byśmy te wakacje spędzili gdzieś na wsi. Zgodzono się. Pamiętam pierwszy ranek na wsi.

Snop promieni słonecznych padł mi na łóżko i przedarł się przez wąziutką szparkę mych powiek do oka. Ogarnąwszy się, wybiegłam. Ogródek nasz skąpany w świetle słońca wyglądał prześlicznie. Kropelki rosy na kwiatach i liściach mieniły się tysiącami barw—a tu i owdzie odzywał się ptaszek.

Ciasno mi było poza sztachetkami, wybiegłam z ogródka. Długimi zagonami ciągnęło się pole. Lecz tu mię miało spotkać nieszczęście. Przebiegł-

szy kilka kroków, uczułam dotkliwy ból w nodze. Usiadłam, by obejrzeć nogę. Wązką dziurką sączyła się krew. „To dobrze, nie przecięłam sobie tętnicy, boby mi krew trysnęła, gdyby tak było"—pomyślałam.

Skacząc na jednej nodze, dotarłam do domu. Wpuściłam kilka kropel lizolu do miednicy z wodą i do niej włożyłam nogę.

Umywszy nogę, oczyściłam jeszcze jodową benzyną okolicę ranki, wyciągnęłam szkło, a że ranka była nieduża i nie bardzo krwawiła, zajodynowałam ją, a położywszy kawałek gazy, zalepiłam plasterkiem.

Tego dnia nie biegałam, bo się bałam, by brud się nie dostał do ranki i nie spowodował ropienia. Nazajutrz siedziałam z książką w altanie, gdy nagle usłyszałam krzyk na drodze. Poskoczyłam więc do płotu, by zobaczyć, co się tam dzieje. Gromadka dzieci, nachylonych nad czymś wymachiwała rękami, jakby pomocy wzywając.

Przeskoczyłam płot i zbliżyłam się do nich. W pośrodku leżał czarny piesek b. mokry i prawie nieżywy.

„Chłopaki go utopiły"—objaśniły mię dzieci. Związane sznurkiem nogi pieska potwierdzały ich słowa. Przenieśliśmy psa pod płot, bo na środku drogi mógłby nas kto przejechać, i wzięliśmy się do ratowania biedaka. Rozwiązałam mu nogi, potem tak, jak to się robi zwykle z topielcem, odwróciłam go mordką do ziemi, zaczęłam z niej wyjmować trawę i mół — pies ksztusił się i wypluwał wodę, której się napił aż nadto, podczas przymuszonej i trochę przydługiej kąpieli.

Dzieciakom tymczasem kazałam rwać trawę i zbierać porozrzucaną na drodze słomę, którą później wytarliśmy psa do sucha.

Gorzej było ze sztucznym oddechem, którego nie potrafiłam na psie zastosować. Obu dłońmi przygniatałam rytmicznie żebra psiaka, lecz gdy kilka razy zaledwie to uczyniłam psiak parsknął i skoczył.

Dzieci wrzasnęły z radości. Lecz piesek był taki słaby, że się zataczał; ułożyliśmy go więc na słońcu i okryli suchą słomą.

Od tego czasu poznawszy się z dzieciakami, bawiłam sią z niemi b. często lub czytałam im powieści i gdy w jesieni musieliśmy się nawzajem żegnać, pobeczeliśmy się wszyscy razem.

Zocha.

□□□□□□□□

TROPIENIE.

Tropienie, czyli szukanie tropu, jest badaniem znaków, pozostawionych przez człowieka lub zwierzę, co umożliwia śledzenie danej osoby lub zwierzęcia, oraz zdobycie różnych o nich wiadomości. Jest zatem faktycznie środkiem ćwiczenia wzroku i uwagi przez dostrzeganie małych nawet punkcików i usiłowanie wykrycia, co mogą znaczyć.

Tropienie jest też nauką, dzięki której najnudniejsza praca staje się interesująca. Jakże często każdy z nas wędrował mozolnie, przykrą, niezajmującą drogą, jedyne mając pragnienie — dotrzeć coprędzej do kresu podróży. Przejdźmy jednakże tę samą drogę, w tych samych warunkach, lecz uposażeni w oczy tropiciela. Oto mamy przed sobą szeroki ślad kół, który powie nam odrazu, że przejeżdżał tędy wóz folwarczny. Pytanie następne, wymagające rozstrzygnięcia, będzie: czy wóz był naładowany i z czego ładunek się składał? Pierwsza część pytania, może być rozstrzygnięta odrazu, gdyż z głębokich odcisków kół na miękkim gruncie możemy wnioskować, że był naładowany ciężarami; doszedłszy do niewielkiego pagórka, spostrzegamy, że koleje zbliżają się naprzemian do obu brzegów drogi, co znaczy, że skutkiem ciężaru wóz jechał torem zygzakowatym, a skoro się zatrzymał dla chwilowego wypoczynku koni, musiano pod tylne koła podłożyć kamień, żeby zapobiedz cofnięciu się wozu. Wykazuje to odcisk kamienia na środku śladu. Co zaś do rodzaju ładunku, stwierdzamy szybko, iż było to siano, albowiem przechodząc pod zwieszającymi się gałęziami drzew i podnosząc wzrok, dostrzegamy na ich gałęziach tu i owdzie strzępy siana, oderwane oczywiście, z naładowanego nim wozu. Ładunkowi towarzyszył woźnica, idący w pobliżu łba końskiego, gdyż przy śladach przednich kopyt widoczne są na ziemi odciski podbitych gwoździami butów chłopskich, zaś zbadanie tytuniu, wysypanego z fajki, wskazuje, że jest to gatunek pospolity, t. zw. machorka, przez ludzi prostych z upodobaniem używana.

Następnie, należy upewnić się, jak dawno wóz przejeżdżał tą drogą. I tutaj znów mamy wiele oznak pomocniczych. Po pierwsze ślady wozu i konia są zupełnie świeże, co wskazuje, że wóz przejeżdżał bardzo niedawno; przypuszczenie to potwierdzają również zupełnie świeże wypróżnienia końskie. Inna jeszcze pomyślna okoliczność pozwala nam określić dokładniej nawet czas przejazdu; albowiem przyglądając się bliżej wiązce siana, która świeżo spadła z wozu, oraz szerokiemu śladowi, widzimy, że jedna i drugi są suche, gdy reszta drogi jest wilgotną, skutkiem ulewy, jaka spadła pół godziny temu;—stąd wniosek, że wóz przejeżdżał, w ciągu ostatniej pół godziny. A teraz krótkie rozumowanie: wóz ciężko naładowany i z tego względu nie mogący przebyć więcej, niż sześć wiorst na godzinę, przejeżdżał przez ten punkt przed niecałą pół godziną, stąd też wyprzedził nas najwyżej o dwie i pół wiorsty; że idziemy z wielką szybkością ośmiu wiorst na godzinę, przeto mamy wyższość dwu wiorst na godzinę nad wozem i możemy go dogonić każdej chwili w ciągu następnych pięciu kwadransów. Uzbrojeni w te wiadomości ruszamy

w drogę, ostatecznie doganiamy wóz i przekonywamy się, że jest naładowany sianem, i że towarzyszy mu woźnica, który idzie przy łbie konia, zupełnie tak, jak opisałem.

W krótkim zarysie niniejszym nie wymieniłem bynajmniej wszystkiego, co mogą wskazać ślady, lecz tylko rzeczy najważniejsze. Zbadawszy np. odciski stóp woźnicy można sobie wytworzyć sąd o jego wieku, z odcisków nóg końskich wywnioskować jakiej jest rasy, z jego ekskrementów — w jakich warunkach jest utrzymany i jaką ma paszę i t. d. Sądzę jednak, że dowiodłem dostatecznie, iż kto tropi ślady, dla tego żadna droga nie jest nudna.

Nadto zaś trzeba zawsze pamiętać o tem, że tropienie nietylko jest metodą, zapomocą której harcerze zdobywają informacje, ale także sposobem, którym posługują się myśliwi dla wykrycia schronisk zwierzyny i ścigania jej. Jeśli stary wytrawny myśliwy, znajdzie się w obcej zupełnie okolicy, pozna odrazu po tropie, jaką tam spotkać można zwierzynę, ze świeżości śladów wnioskuje, jak dawno zwierzęta przechodziły daną drogą, a czytając ich trop, który jest dla niego niby otwarta książka, idzie za nimi do ich legowisk lub na ich pastwiska, poczem, wracając, kieruje się własnym śladem.

Podejmując naukę tropienią, musimy też pamiętać o tem, że jest to przedmiot, który będzie dla nas bardzo cenny w życiu późniejszym. Przedewszystkim, sprawia, że obserwujemy i dostrzegamy wszystko, czyli, jak mówią Amerykanie „nie mamy łuski na oczach"; już to samo potęguje naszą bystrość, a więc lepiej jesteśmy uzbrojeni do walki ze światem. Następnie uczy nas zastanawiać się i wysnuwać wnioski z drobnych nawet rzeczy, a to rozwija naszą zdolność rozumowania i czyni z nas ludzi lepszych. Umożliwia nam wreszcie spełnienie niejednego dobrego uczynku, a może też dać sposobność ukarania ukrywającego się przestępcy, który, gdyby nie my, uniknąłby kary za popełnioną zbrodnię.

JAK UCZYĆ SIĘ TROPIENIA?

Tropienie nie jest sztuką, której można się nauczyć w ciągu jednego dnia, ani też nabyć z czytania książek; droga do prowadzenia w tej odrębnej dziedzinie kunsztu harcerskiego prowadzi przez wprawę, wprawę i jeszcze raz wprawę.

Chcąc zostać prawdziwie dobrym tropicielem, trzeba się uczyć całe życie — należy zacząć naukę w wieku młodym i wprawiać się na każdej wycieczce, każdej przechadzce, bądź w mieście, czy też na wsi.

Obawiam się, że za dużo zastępów zabiera się do tej nauki w sposób zupełnie niewłaściwy i z tej przyczyny, tak często chybiającej celu, porzucają wnet to zadanie, podejmują inne, które im się wydaje bardziej zajmujące. Pozwolę sobie powiedzieć odrazu, że niema nic bardziej zajmującego, niż sztuka tropienia, ale jeżeli chcemy ją posiąść, i to w sposób prawdziwie przyjemny, musimy przystąpić do nauki właściwie.

Może jednak, zanim powiemy, jak należy się zabrać do nauki tropienia, najlepiej będzie wskazać, jak niektórzy chłopcy podejmują to zadanie, a z przykładów, jak tego czynić nie trzeba, lepiej będzie można się nauczyć, jak czynić należy.

Przeciętny zastęp, który mamy na myśli, postanowiwszy udać się na tropienie, umawia się na odpowiedni ranek i wyrusza conajmniej na pięciowiorstową wyprawę. Tylko taka znaczna odległość zadowoli ich na pierwszą próbę!

Skoro zostanie rozstrzygnięta kwestja, kto ma być tropicielem, a kto tropionym, tedy harcerze tropieni, posiadający wydatnie podkute buty lub obwiązane sznurkiem lub rzemieniem, wyruszają w daleką podróż. W kilka minut później reszta zastępu rzuca się za nimi, jakgdyby jedynym ich zamiarem było przekonać się, kto przebędzie daną przestrzeń w najkrótszym przeciągu czasu; ten bieg trwa przez chwilę, dopóki nie stracą tropu — wtedy cały zastęp rozprasza się, usiłując go odnaleźć, przesyłając sobie wzajemnie wszelkie informacje głośnemi okrzykami, które słychać na pół wiorsty— oczywiście słyszy je też harcerz tropiony.

Jeden z zastępu, mniemając, że ślad odnalazł, rusza naprzód z wrzaskiem, za nim biegnie reszta, lecz niebawem przekonywają się, że są na tropie fałszywym. Chłopcy, rozbiegłszy się poprzednio, gdzie kto chciał, zadeptali prawdopodobnie ślady i po krótkiem dalszem poszukiwaniu, zastęp orzeka, iż tropienie jest grą niewdzięczną i, pozostawiając tropionego nieboraka własnemu losowi, ruszają z powrotem lub też pocieszają się innem „ćwiczeniem harcerskiem".

Żeby zaś nauczyć się tropić należycie, trzeba zrazu zadowolić się małem, a w miarę nabywania sprawności, podejmować zadania coraz trudniejsze. Należy pamiętać, że „nie odrazu Kraków zbudowano", a tropiciel nie rodzi się gotowy, lecz trzeba go wrobić i to przy pomocy bardzo długiej wprawy. Sposobiąc się do długiego biegu, nie zaczniemy przecież od robienia dwudziestu wiorst biegiem najwyższej szybkości w pierwszym dniu ćwiczenia się, lecz zadowolimy się przebyciem przestrzeni niewielkiej i będziemy ją powiększali w miarę wyrabiania się naszego oddechu i nabywania wprawy. Tak samo dzieje się z tropieniem — zadawalajmy się małemi początkami, a gdy się wydoskonalimy, w zadaniach lżejszych, przechodźmy do trudniejszych.

Nadewszystko nie należy zapominać, że cała sztuka tej nauki polega na obserwacji i wnioskowaniu, t. j. na dostrzeganiu przedmiotów i wykrywaniu, co znaczą. Trzeba się w to wprawiać ustawicznie w wędrówkach do szkoły na zbiórkę, albo do sklepu, i z powrotem, w przechadzkach, podjętych dla ruchu, słowem wszędzie i zawsze. Kto tak postępować bę-

dzie, przekona się niebawem, jakie robi postępy w tej zajmującej sztuce. Nadewszystko trzeba pracować spokojnie; dobry harcerz i tropiciel jest człowiekiem milczącym, wszystkie zmysły jego bowiem czuwają i nie ma czasu na rozmowy, a co więcej, nie widzi potrzeby zapowiadania swojej obecności, temu kogo tropi, lub też (a o tem pamiętać należy) człowiekowi, który, bez jego wiedzy, tropi jego samego.

PIERWSZE KROKI.

Niewątpliwie po tem, co tu powiedziano, pierwsze zapytanie brzmieć będzie: „Jakże zacząć uczyć się tropienia?" A na to odpowiemy znów: „Trzeba zadawalać się skromnymi początkami". Tropienie jest pod pewnymi względami tak podobne do poszukiwania rozrzuconych na szlaku papierków, że w początkach uważać je możemy za takie, ale zamiast pokryć drogę przebytą mnóstwem podartego papieru, zastąpimy papier skrawkami tkaniny albo włóczki, które możnaby prywiązać lub przyczepić do drzew czy krzaków w przerwach od 20 do 50 kroków; jest to ślad trudniejszy do odnalezienia, niż papierowy, a jakkolwiek wymaga więcej czasu, ćwiczy daleko lepiej spostrzegawczość.

Na przemiany można też iść za śladem, naznaczonym wiadomymi znakami harcerskimi, które mogą być narysowane na błocie albo na piasku po drodze lub też kredą na słupach bramy czy wrotach stodoły, w każdym zaś razie muszą być starte po odczytaniu, aby nie wprowadzać w błąd harcerzy, którzyby dążyli tą samą drogą. Znaki mogą być umieszczane w częstych przerwach i najpierw winny być duże, następnie zaś, w miarę doskonalenia się w tej sztuce, należy znaki zmniejszać, a odległość między nimi powiększać.

Z kolei można rozpocząć ćwiczenia odpowiednie jakimiś b. wyraźnymi śladami, są do tego celu żelazka tropicielskie, które przy dobrej woli można sporządzić własnymi środkami, ale tutaj znów wprawianie się powinno być stopniowe i zrazu wykonywać trzeba tylko zadania najłatwiejsze, zaś harcerz noszący żelazka powinien wybierać grunt miękki, a przestrzeń przebyta nie powinna być zbyt znaczna. Oczywiście w miarę, jak zastęp nabywa wprawy, „zając" może wykonywać zadania trudniejsze, wybierając grunt twardszy lub kamienisty. Pożądane też jest, aby każdy członek zastępu był kolejno tropicielem i tropionym. Nie należy zbyt pośpiesznie prowadzić ćwiczeń.

Dotychczas wszakże ćwiczyło się tylko oko, teraz należy zacząć ćwiczyć się w umiejętności wnioskowania, t. j. zniewolić do pracy umysł. W tym celu zastęp powinien wyruszyć na przechadzkę wzdłuż gościńca i tam usiłować wyrozumować, dlaczego są i skąd pochodzą niektóre z licznych śladów, jakie ma przed sobą. Oto ślad samochodu, trzeba iść tym śladem na pewnej przestrzeni i wykryć jaką drogą jedzie. Tutaj jest też ślad roweru — w jakim kierunku dąży? A oto mamy ślady wozu — trzeba dobrze zbadać szerokość szlaku oraz odległość między kołami, żeby stwierdzić rodzaj pojazdu. Oto znów ślady różnych ludzi, które są męskie, które kobiece, a które dziecięce? które możnaby określić, jako wyciśnięte stopą rzemieślnika, a które stopami ludzi, pracujących w polu? A oto ślad konia wierzchowego; jak dawno przejeżdżał tą drogą? Nie trzeba ćwiczenia niniejszego przeprowadzać na zbyt wielkiej przestrzeni, lecz należy zadawalać się przestrzenią mniejszą i zbadać ją dokładnie. Nadewszystko, nie trzeba zgadywać; należy wyśledzić i wyrozumować wszystko, a każde wygłoszone przypuszczenie lub odpowiedź winny mieć słuszną podstawę. Nie trzeba nigdy zapominać, że tropienie nie jest popisem odgadywania, lecz oko i umysł muszą być w tym celu doskonale wyćwiczone.

Z kolei należy badać trop ludzi i zwierząt, dążących z różną szybkością przez grunt, na którym pozostają ślady wyraźne. Śród nich może być koń galopujący, idący kłusa lub stępa, mężczyzna idący i biegnący, kobieta idąca i mężczyzna idący boso.

Jeżeli ćwiczenie w tropieniu prowadzone będzie w ten sposób, nie zaś zbyt pośpiesznie, byle nauczyć się czegoś nowego, to przyniesie w wyniku dobre podstawowe zasady tego kunsztu.

Dział biszkoptowy.

DO NAJMŁODSZEGO DRUHA LIST.

Do Ciebie, mały mój Druhu, piszę, abyś wiedział, że Komendant twój Naczelny kocha cię serdecznie, jako czyste, do poświęceń gotowe chłopię polskie, miłujące Ojczyznę i pragnące w każdej chwili życia swego do służby stanąć ojczystej.

Znam twój zapał do Harcerstwa, wiem, że ponad wszystkimi twemi myślami króluje jedna naczelna: zmężnieć, sił nabrać, wiadomości niezbędne zdobyć, byś mógł sam na siebie liczyć i dla innych być podporą. Więc marzysz ciągle o wycieczce, o tej wycieczce, na której młode twe ręce same będą sobie radziły, na której poznasz, że wiele wspólnemi siłami w ładzie i karności wykonać można!

Biegniesz więc do Tatusia, by ci pozwolił iść na wycieczkę, oczko do Mamusi robisz, całujesz ją serdecznie, żeby Ci pozwoliła wyruszyć, tłumaczysz jej, że Ci się nic nie stanie.

A gdy Rodzice Ci pozwolili, myśl o wycieczce spać Ci nie daje, budzisz się przedwcześnie, aby na czas wstać! Wreszcie sposobisz się do wymarszu.

Napychasz swój plecak i kieszenie rozmaitościami, o których niewtajemniczeni pojęcia nie mają.

Potem, gdyś wrócił z wycieczki, (o bo udała się Wam ta pierwsza wycieczka!) z oczyma roziskrzonymi opowiadasz radości pełen, gdzieście nocowali, jaki obiad samiście ugotowali, jakie ćwiczenia przerabialiście i jakie mieli przygody. Wszyscy słuchają Ciebie, i Rodzice i Rodzeństwo, dziwią się, a radziby być znów z Tobą na nowej wycieczce; radziby zobaczyć, jak Ty z własnej woli słuchasz swego zastępowego lub drużynowego, jak czaisz się w zaroślach, by swego przeciwnika wyśledzić, jak swemu bliźniemu—harcerzowi gotów jesteś nieść ciągle pomoc, radzić sobie w potrzebie i z innymi tworzyć składnie i ładnie wszystko, czego od Ciebie komenda żąda. Ale pamiętaj, że na wycieczce, na ćwiczeniach, gdzie uczysz się wspólne rozniecać ognisko, przy którym się grzejecie, nie kończy się twój obowiązek harcerza.

Bądź harcerzem zawżdy i wszędy! W ,,Harcerstwie'' sam z siebie tworzysz Harcerza. Jestem pewien, że jako Harcerz spełnisz wolę twego Komendanta. Oto co chcę Ci rozkazać!

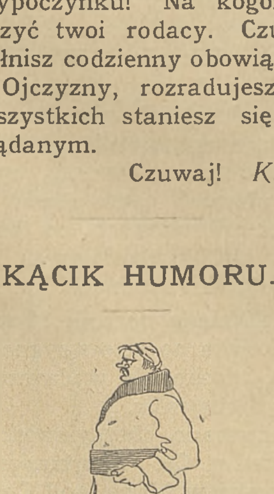
Bądź posłuszny swym Rodzicom, którzy kochają Cię jako swe dziecko, nauczycielów, którzy chcą Ci rozjaśnić świat wiedzą!

Pomnij o swych codziennych obowiązkach! Bądź synem kochającym dla swych Rodziców, bądź radością ich życia! Bratem czuj się w gronie rodzeństwa, z którym dzielisz życie rodzinne!

Do kolegów w szkole śpiesz z usługą koleżeńską! Napotkanemu bliźniemu, nieznanemu Ci bliżej chętnie udziel pomocy, jeśli jej potrzebuje. Służba twa nie zna wypoczynku! Na kogóż, jeśli nie na Ciebie będą liczyć twoi rodacy. Czuwaj o każdej godzinie, a spełnisz codzienny obowiązek twój względem Boga i Ojczyzny, rozradujesz własną duszę młodą, dla wszystkich staniesz się miłym, pożytecznym i pożądanym.

Czuwaj! *Ksiądz Longin.*

KĄCIK HUMORU.



— Kto to jest? —

CZTERY GŁOWY NA JEDNYM KARKU!

W pewnym dzienniku ukazało się ogłoszenie: ,,O zajęcie prosi biedny człowiek, który ma na karku cztery głowy''. Po kilku dniach otrzymuje ogłaszający się zaproszenie na występy w cyrku z pensją miesięczną 400 marek, nie posiada się z radości i czem prędzej wsiada do pociągu, przybywa do Berlina melduje się dyrektorowi cyrku, który spojrzawszy na niego i przekonawszy się, że ma tylko jedną głowę, odmawia przyjęcia. Biedny człek, mający jednakże na karku cztery głowy, osowiały wraca do domu.

DRUH BUFALO UCZY SPOSTRZEGAWCZOŚCI SWOICH HARCERZY!

Zebrał ich wszystkich razem we wspaniałych swych komnatach, i naraz dał rozkaz... Zadudniało na schodach, biegnie jeden za drugim, cała drużyna, chłop w chłopa! Na ulicach ludzie stają, patrzą, co się tu dzieje. Rewolucja? A może uciekają do Legjonów? A może gonią złodzieja? Albo napad na jakąś starą babę bogatą? Milicjant, który z pogardą patrzy na cywilów, przejęty ważnością powierzonej mu sprawy, bezpieczeństwa publicznego, zamieszanie spostrzegł i naraz zbladł jak chustka, nogi się pod nim ugięły, drużyna cała druha Bufala pędzi wprost na niego! Poczuł w sobie milicjant nieprzepartą chęć do ucieczki, ale opanował się, czeka mężnie wyzwania, gotów do ukrócenia burzycieli spokoju publicznego. A tu jeden za drugim chłopcy przyskakują do niego, patrzą na numer i czemprędzej uciekają. Biegną dalej, aż ziemia dudni, wpadają jeden za drugim do dorożki: woźnica przelękniony! Każden patrzy na numer na plecach jego i ucieka. Aptekarz w melancholji pogrążony (nikt nie przychodzi po pigułki i leki) na pamięć sobie przywodzi dawne świetne czasy za rządów Taty. Wtem widzi tłum u okien wystawowych więc radość, a potem przerażenie go ogarnia! To drużyna druha Bufalo wali na łeb, na szyję, zagląda przez drzwi i okna i... pognała dalej! Stróż domu odtrącony! Biegną druhowie jeden przed drugim na schody do doktora, zabaczyć, gdzie mieszka i kiedy przyjmuje. Wszyscy lokatorzy wyścibili nosy przez drzwi, struchlali na myśl, że to trzęsienie ziemi! Przecież tabun koni—po schodach piąć się nie potrafi? Doktora, lokaja, pacjentów, wszystkich zespala zdumienie na widok pochodu druhów, pędzących jak w szaleństwie. Lecą do straży ogniowej! Dążą za nimi młodzi, starzy, lud prosty i wytwornie ubrani panowie i paniusie, milicja i szucmani, żeby zobaczyć, co się to stało, gdzie oni pędzą. A oni tylko o jednym myślą, o rozkazie drużynowego, druha Bufala, aby nauczyć się spostrzegawczości!

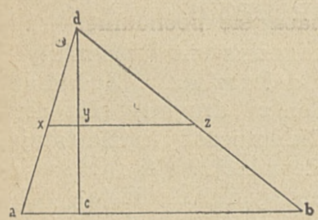
K. L.

Co harcerz wiedzieć powinien?

POWIĘKSZANIE MAP.

Harcerz, mając często do czynienia z mapami, ucieka się do przerysowania ich lub powiększania. O ile przerysowanie jest rzeczą względnie łatwą, o tyle powiększanie nastręcza już większe trudności, zwłaszcza, jeżeli jesteśmy skrępowani brakiem czasu lub odpowiednich przyrządów, a chodzi nam o szybkie i dokładne powiększenie pewnego odcinka terenu.

Chcąc sobie ułatwić pracę zamiany odległości na mapach o danej podziałce, na odpowiednie odcinki w potrzebnej nam skali, posługujemy się następującym sposobem:



Na prostej (np. ab) (patrz rys. obok) budujemy jakikolwiekbądź trójkąt (abd). Prostą (ab) dzielimy na dwa odcinki ac i cb, które są odpowiednio proporcjonalne do danych podziałek liczbowych; przyczem prosta ac odpowiada odcinkowi o mniejszej podziałce.

Np. mamy zrobić szkic 1:25000 z mapy fotograficznej rosyjskiej 1:126000.

Stosunek odcinków podstawy będzie:

$$ac : cb = \frac{1}{126000} : \frac{1}{25000} \text{ czyli}$$

$$\frac{ac}{cb} = \frac{25}{126}\,;\ \frac{ac}{cb} = \frac{1}{5{,}04}$$

Odrzuciwszy części ułamkowe otrzymamy że

$$\frac{ac}{cb} = \frac{1}{5}\,;\ \text{czyli } cb = 5\ ac.$$

Następnie, połączywszy punk podziału c z wierzchołkiem d, możemy przystąpić do powiększania. Odmierzamy teraz na mapie 1:126000 pewien odcinek np. xy (w braku cyrkli — skrawkiem papieru) i odszukujemy długość linjową w △ adc. Dana długość xy w △ adc musi być równoległa do podstawy ab. Przedłużenie prostej xy od punktu y do z do przecięcia się z bokiem db da nam powiększony odcinek, da nam poszukiwane powiększenie xy w skali 1 = 25000.

np. niech ac = 1260 m. w podziałce 1:126000
to cb = 1260 m. ,, 1:25000

(oczywiście robimy błąd = 0,8 %)

jeżeli xy = 504 m. w podz. 1:126000
to yz = 504 m. ,, 1:25000.

M. K.

KILKA SŁÓW O ROZWOJU SYGNALIZACJI[1]).

Od niepamiętnych czasów dążył człowiek do skracania czasu i przestrzeni, a to głównie dla łatwiejszego przesyłania lub odbierania wiadomości. Po wielu usiłowaniach doszedł do ostatniego wynalazku w tej dziedzinie: telefonu iskrowego, samolotu i łodzi podwodnej. Jednakże rozwój ten postępował stopniowo, wiekami.

Człowiek pierwotny początkowo używał głosu dla zwracania uwagi swego współplemieńca, gdy ten znajdował się dalej. Ale ponieważ niezawsze mógł głos dolecieć do ucha tak wyraźnie, jakby tego sobie obaj życzyli, uciekał się więc jeden z nich do dawania znaków ręką—machania. W ten sposób powstała zapewne prasygnalizacja. Z nastaniem zmroku i ciemności dłoń uzbrojona w płonące drzewce, pozwalała na wzajemne porozumiewanie się. Ślady sygnalizacji ogniowej znajdujemy już w głębokiej starożytności. Wiadomo bowiem, że Persowie mieli znakomite urządzenia telegrafu optycznego. Aristoteles przytacza w swoich pismach, że „tak wielki był porządek, a osobliwie tych stacji ogniowych, których rząd wymieniał wzajemnie znaki świetlne, od granicy państwa do Suzy i Ekbatanu (stolicy kraju), że król w ciągu jednego dnia dowiadywał się o wszystkim, co stało się nowego w Azji".

Jak podaje Ejschilos (500 r. przed ur. Ch.), Grecy już około 1200 r. przed N. Ch. mieli stałą komunikację sygnalizacyjną. Mianowicie Agamemnon zawiadomił swą małżonkę Klitemnestrę w ciągu jednej nocy o wzięciu i upadku Troi.

Latarnia morska na wyspie Pharos, pełniła również służbę sygnalizacyjną. Wieża ta zbudowana w 3 w. p. N. Ch. z białego marmuru miała wysokości 135 m. Na platformie wieczorami rozpalano stosy smolnych drzew sosnowych, „których wysoki płomień sięgał gwiazd" — według wyrażenia poety. Obliczają, że płomień tych stosów był widoczny w promieniu 200 mil morskich, co tembardziej godne jest uwagi, że światło dzisiejszych latarń morskich dosięga średnio 60 mil morskich.

Również, jak niesie podanie, sławna wieża Babilońska używana była do celów sygnalizacyjnych, pomimo licznych, doskonale wyćwiczonych zastępów szybkobiegaczy i kurjerów.

W dzień używano chorągiewek i dymu. Już w roku 410 przed n. Ch. Alcybiades zniszczył flotę spartańską i perską w bitwie pod Cyryką, manewrując okrętami przy pomocy chorągiewek sygnalizacyj-

[1]) Według następujących podręczników: Hargarewskij, Polowe sygnały optyczne; — Wedels Off. tasch. buch. 1917; — Felegrophie t. u. Telephonie v. J. Hamacher. 1908; — Capitaine Royet, Le livre de l'éclaireur; — T. Liviusz, od założenia miasta L. XXI.

nych. Hannibal, jeden z najgenialniejszych wodzów świata starożytnego, którego taktyka nie straciła na wartości nawet w dobie obecnej, chętnie używał sygnalizacji optycznej; opisy aczkolwiek skąpe, znajdujemy w opisach historyka rzymskiego Liviusza. Oprócz tego Hannibal budował specjalne wieże, przeznaczone dla przesyłania wiadomości w Hiszpanji i Afryce. Przesyłano depesze całemi zdaniami, podobnie, jak to dziś się stosuje w sygnalizacji morskiej.

Rzymianie, oceniwszy doniosłość tego źródła łączności, zaprowadzają podobne wieże sygnałowe u siebie, których ruiny znajdujemy dziś jeszcze we Francji.

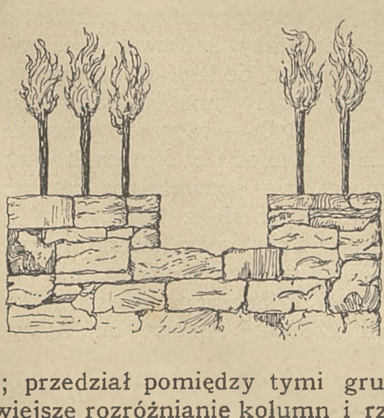
Jednak istniały jeszcze i inne sposoby przesyłania wiadomości, nie zdaniami a oddzielnemi słowami. W V w. przed N. Ch. Kleoksen i Demokryt wynaleźli już specjalny alfabet łatwy i dogodny do sygnalizowania, na wzór którego powstał, powszechnie znany i używany w wojsku i harcerstwie alfabet „strzelecki". Jak sygnalizowali przy pomocy tego alfabetu w dzień, trudno to dziś orzec, jednak grecki historyk z II w. przed n. Ch., Polibjusz, podaje sposób sygnalizowania nocą. Na murze, podzielonym na trzy części, umieszczano w specjalnych otworach pochodnie, oznaczające rzędy i kolumny liter greckich, rozmieszczonych w sposób wskazany na rysunku poniższym.

Rzędy

Kolumny

	1	2	3	4	5
1	α	ε	λ	π	φ
2	β	η	μ	ρ	χ
3	γ	θ	σ	ς	ψ
4	δ	ι	ξ	τ	ω
5	ε	κ	ο	υ	

Pochodnie umieszczone w jednej grupie po prawej stronie tego muru oznaczały kolumny, po le-



wej—rzędy; przedział pomiędzy tymi grupami miał na celu łatwiejsze rozróżnianie kolumn i rzędów. Pochodnie zbyteczne w danej chwili ustawiano poniżej tak, aby światło ich nie przeszkadzało pochodniom sygnalizującym. Poniższy rysunek wskazuje sygnalizowaną grecką literę μ.

Podobnie przesyłali wiadomości Rzymianie przy pomocy pochodni. Ustawiali oni 3 grupy, po 9 ogni w każdej. Pierwsza grupa wskazywała setki, druga dziesiątki, trzecia jednostki. Chcąc przesłać wiadomość musiano zaglądać do klucza, znaleźć dane słowo i zobaczyć numer stojący przy nim. Numerów tych było od 1 do 999. Chcąc przesłać wyraz oznaczony liczbą 548 zapalono pochodnie w następujący sposób:

setki . . . . O . . . .
dziesiątki . . . O . . . . .
jednostki . . . . O .

gdzie znak O oznacza palącą się pochodnię, — . — miejsce danej pochodni. Ustawiano pochodnie, podobnie jak w systemie greckim.

W średniowieczu sygnalizacja ogniem znajdowała wielu zwolenników. W monarchji Karola Wielkiego były zbudowane baszty, zwane wartami, na linji granicznej oraz na szlakach, wiodących w głąb państwa. Służyła ona do przesyłania przy pomocy sygnałów optycznych wiadomości o stanie bezpieczeństwa całości granic państwa.

W czasie walk z Maurami Hiszpanie posługiwali się sygnalizowaniem ogniem i chorągiewkami, podobnie jak i Arabowie w Azji Mniejszej.

Podobnych urządzeń używano w Polsce, gdzie na wypadek wojny, kraj cały rozgorzał w ciągu jednej nocy setkami ognisk, rozpalonych na wyniosłych punktach; był to znak najazdu. Wici rzucane u progów dworów były hasłem zbiórek rycerskich.

Z narodów po za europejskich tego okresu sygnalizacji świetlnej używały ludy, stojące na dość nizkim w porównaniu z europejskimi ludami stopniu kultury. Mieszkańcy Polinezji, Ameryki Południowej oddawna znały tego rodzaju środki porozumiewawcze. Wszak, jak wieść niesie, Ziemia Ognista, została tak ochrzczona na skutek niewielkiej ilości stacji ogniowych, alarmujących mieszkańców w razie zbliżania się ryb, wielorybów lub jakichś obcych czółen.

Chińczycy, obawiając się najazdu Mongołów i Mandżurów, zbudowali na Murze Chińskim specjalne mechanizmy dla przesyłania wiadomości o ruchach nieprzyjacielskich. Używali oni zarówno, jak i Hindusi, tak silnych ogni, że światło ich przenikało przez mgłę, a wiatr i deszcz nie był w stanie ich zalać i zagasić. Tajemnica wyrobu tego ognia, poznana przez Anglików jeszcze w 1787 r., w czasie ich pobytu w Indji, zastosowana została dla komunikacji między obserwatorjum w Greenwich a Paryżem.

Równie prosty, jak i wymowny sposób—według słów kapitana Royet'a—był system sygnalizacyjny, użyty przez Tamerlana, zdobywcę Indji i Chin. Skoro tylko obległ on jakiekolwiek bądź miasto, dawał

3 sygnały chorągiewkami. Najpierw powiewał chorągiewką białą, oznaczało to „poddajcie się".—Chorągiewka czerwona przyzywała komendanta miasta dla usprawiedliwienia się z oporu stawianego pierwszemu wezwaniu, a trzecia czarna zwiastowała szturm na miasto i rzeź obrońców i mieszkańców.

Jednakże pierwsze właściwe zastowanie sygnalizacji, jako stałej komunikacji optycznej, w dzisiejszym słowa tego znaczeniu, było wprowadzone w roku 1684 przez Roberta Kuka w Anglji. System ten był oparty na sygnałach dawanych czarnemi deskami rozmaitego kształtu, umieszczonych w pośrodku ramy drewnianej. System ten dochował się jeszcze w Anglji dla wskazywania marynarzom ruchów przypływu i odpływu morza.

Po tym pierwszym wynalazku w wieku XVII i XVIII było kilka projektów telegrafów sygnalizacyjnych (Warchester w Anglji, d'Amonton, Marcel i wielu innych we Francji). Ale żaden z nich nie pozostawił trwałych szladów swych projektów, dopiero bracia Chappe we Francji wprowadzili w czyn swoje projekty sygnalizacji, przyjęte w roku 1792 przez Zgromadzenie Prawodawcze.

Sposób Chappe'a polegał na zmianie położenia skrzydeł, umieszczonych na krańcach ruchomej poprzeczki, przymocowanej do wysokiego masztu. Zmianę położenia tych skrzydeł uskuteczniano przy pomocy sznurów, przeprowadzonych przez bloki. Więcej niż 100 rozmaitych położeń skrzydeł stanowiło sygnały specjalne, do ich odczytania służył odpowiedni kodeks.

Telegraf Chappe'a, aczkolwiek niedoceniany nieco przez Napoleona, chętniej posługującego się kurjerami i ordynansami, istniał we Francji do roku 1855, podobnie jak i w wielu innych państwach europejskich, gdzie państwowa sygnalizacja optyczna dochowała się do końca pierwszej połowy ubiegłego stulecia.

W Szwecji i Anglji telegraf optyczny składał się z wielkiej ramy, podzielonej wewnątrz na 10 części przy pomocy podłużnych i poprzecznych listew; w każdej takiej przegródce obracała się na osi drewniana cienka deseczka, która zamykała lub otwierała okienko stosownie do swego położenia.

W Prusach istniał telegraf, składający się z wysokiego masztu o 6-ciu obracających się ramionach, podobnie jak to się ma w dzisiejszych semaforach kolejowych, tylko, że wówczas ramiona te umieszczono parami w trzy rzędy.

W Polsce podobny telegraf szedł z Warszawy do Petersburga (150 stacji pośrednich). Telegraf taki składał się z masztu, na którym obracało się skrzydło w kształcie litery T, obracające się przy pomocy specjalnego mechanizmu.

Dla przesyłania sygnałów nocą zapalano na końcach skrzydeł 3 latarnie, czyniąc tym sposobem możliwą obserwację znaków.

Telegraf ten zbudowano w r. 1838, a więc wtedy, gdy na Zachodzie Europy wchodzić zaczynał w użycie telegraf elektryczny, wypierając optyczny. Jeszcze do niedawna na szlaku Warszawa — Petersburg, a w Rosji Petersburg—Krym można było widzieć wysokie budynki, znane wśród ludu pod nazwą „telegrafu", szczątki owych stacji sygnalizacyjnych.

Ostatni raz wybił się na widownię dziejową; przed wyjściem z użytku, telegraf Chappe'a w czasie wojny Krymskiej, użyty przez Francuzów do celów wojennych, oddając duże usługi.

Jednak około roku 1850 telegraf elektryczny wyparł sygnalizację optyczną nietylko tam, gdzie tego wymagała potrzeba, jak np. w komunikacji wewnętrznej państwowej, ale i w służbie frontowej, gdzie bezsprzecznie powinien był znaleźć należne sobie miejsce, na skutek swych dodatnich stron wówczas niedocenionych.

W r. 1874 wynaleziono heliograf, przyrząd, przesyłający znaki świetlne przy pomocy lustra na odległość 40 — 50 km. Przy sprzyjających warunkach nośność tego aparatu była większa, bowiem, jak przytacza R. Van Wetler, robiono próby łączenia, przy pomocy heliografu Mangeaine'a wyspy Św. Maurycego i Réunion, oddalone od siebie o 200 km w linji powietrznej.

Jednakże należy zaznaczyć, że jeszcze w roku 1855, a więc na 20 lat przed wynalezieniem heliografu, francuz Leseure przedstawił dla użytku wojsk kolonialnych w Afryce (Algier) specjalny przyrząd sygnalizacyjny, przesyłający znaki przy pomocy telegrafu słonecznego.

W czasie wojny francusko-pruskiej, przesyłano przy pomocy podobnych aparatów, wiadomości z oblężonego Paryża w głąb Francji.

Zależność heliografu, heliotropu, przyrządu, używanego do przesyłania znaków przy robotach gieodezyjnych, i heliostatu, przyrządu będącego połączeniem heliotropu z mechanizmem, pozwalającym na automatyczną zmianę położenia luster odpowiednio do ruchu słońca, od stanu atmosfery i aury, skłoniły Morat'a, (również w czasie oblężenia Paryża), do zastosowania światła sztucznego zamiast słonecznego. Próby, dały rezultaty zadawalające, bo depesze były przesyłane ponad 60 km. w linji prostej.

Heliografy, miały duże zastosowanie w wojnie Afganistańskiej 1878 — 1879 r., prowadzonej przez Anglików, jak również i w fortecach, jako dogodny środek łączności, nie pozwalający na przejmowanie depesz, znajdującym się z boku.

Około roku 1881 wynaleziono aparat oparty na wybitnej różnicy między powierzchnią czarną, a srebrzysto-białą, oświetlonemi promieniami słońca lub lampą o silnym świetle. Aparat ten nazwano „telelogiem".

W okresie między rokiem 1874 a 1906 sygnalizacja optyczna zeszła na plan drugi w dziedzinie wojskowości, ustępując miejsca telefonom i telegrafom

polowym, idealnym prawie środkom łączności, pracującym szybko i pewnie, dając przytem rękojmię, że dane doniesienie doszło rzeczywiście swego przeznaczenia, bowiem odpowiedź otrzymywano natychmiast.

Jednakże wojna rosyjsko - japońska wykazała konieczność użycia wszystkich bez wyjątku środków łączności. Zresztą już doświadczenia wojny Tunetańskiej 81 r. wskazywały, jak łatwo przewodniki mogą być uszkadzane, nawet przez własne wojsko, które bądź to szarżując, bądź to pędząc bydło przerywały do 42 razy własne przewodniki. Nie przewidywano wówczas jeszcze tego strasznego, huraganowego ognia, niszczącego druty, rowy, ganki i schroniska, przerywającego linje telefoniczne, wkopane w ziemie. I oto dzisiaj wrócono znów do dawnych połączeń sygnałowych przy pomocy chorągiewek, sygnalizacja znów stała się środkiem łączności. Tylko, że dziś pracują z nią telefony, mające za sobą ,,łatwość w kierowaniu i oszczędność w ludziach i koniach", heliografy, wożone na ciężkich wozach czterokonych, sygnalizujące naftowe lampy polowe (o użyteczności 20 km w dzień, 40 km w nocy) i nowy środek, telegraf iskrowy, niezbędny dziś w komendach armji i komendzie naczelnej, aparat, działający w promieniu 250 km, a wzniesiony przy pomocy balonów na uwięzi do 350 km.

Dziś wszystkie państwa Europejskie, posługując się sygnalizacją optyczną, dostępną dla najniższych jednostek bojowych, używają do niej znaków alfabetu Morsègo. Wojsko polskie używa dziś prócz tych znaków znanego powszechnie w szeregach sygnalizatorów harcerskich abecadła strzeleckiego.

I dziś, jak ongiś w starej, boskiej Helladzie, ponad piekłem ognia śmiertelnego, huraganowego, góruje wysmukła postać żołnierza sygnalizatora, ślącego w swoich kropkach i kreskach rozkazy, meldunki i doniesienia, hen w dal, kędy czekają z napięciem oficerowie sztabu komendy, kompanji, bataljonu, pułku.

Marjan Kilo.

Ubezpieczenia w spoczynku.

(Forpoczty).

(Dokończenie).

Ze względu na ilość ludzi i ich wypoczynek, nie jesteśmy nieraz w możności wystawić wielkiej ilości wedet. Należy wówczas szczególnie starannie rozejrzeć się w terenie, by kosztem gładkich i przejrzystych przestrzeni obsadzić gęściej zakryte i porośnięte. Jeżeli zaś mimo tego, wedety wysuwają się z obrębu wzroku, to należy je zbliżyć do obozu.

Wogóle w praktyce napotykamy moc trudności, a stąd i odstępstw od regulaminów.

Siła placówki wynosi od 1 zastępu do plutonu, zależnie zaś od składu, pory dnia i pogody (jasno, czy mgła), placówka obejmuje front 200-1000 x (w tym ostatnim wypadku wedety krańcowe wymykają się poza obręb głosu z placówki).

Dowódca placówki, przed odmarszem otrzymuje nast. instrukcję:

1. Numer placówki (placówki numeruje się od prawego do lewego).
2. Wiadomości o nieprzyjacielu.
3. Wiadomości o naszych siłach (ogólne); o granicach odcinka danej placówki (droga nie może być nigdy granicą odcinków), oraz o linji ubezpieczeń i stanowiskach placówek sąsiednich.
4. Roboty ziemne na stanowisku (nieraz w przejrzystym terenie placówki okupują się z dobrym maskowaniem).
5. Sposób zachowania się w razie ataku nieprzyjacielskiego (bronić się, oczekując pomocy, czy cofać się dokąd i którędy?).
6. Czy wysłane są w stronę nieprzyjaciela patrole wywiadowcze, oraz czy placówka ma wysyłać i jak daleko swoje patrole?
7. Stanowisko placówki, którą należy zluzować.
8. Dokąd przesyłać meldunki? (do placówki dobrze przydzielić w tym celu 1—2 kolarzy).
9. Jak utrzymywać czucie z placówkami sąsiednimi?
10. Czy placówka może użyć w razie niepogody płacht namiotowych (niewolno jednak placówkom i wedetom nakrywać głowy) lub schronić się pod dach?
11. Godzina zmiany, wzgl. ściągnięcia do tyłów odmaszerowującej kolumny.
12. Hasło i odzew.

Dowódca placówki:

1. Powtarza instrukcję.
2. Nastawia swój zegarek według zegarka rozkazodawcy.
3. Udaje się do oddziału:

a) zawiadamia o wymarszu;

b) sprawdza wyekwipowanie i zdrowie swych ludzi (zostawia chorych w obozie, jak również i kucharzy); opatruje też swoje wyekwipowanie (pamięta o lornetce, papierze (latarce) i mapie okolicy);

c) bierze ze sobą jednego harcerza ze składu oddziału bezpośrednio wystawiającego daną placówkę, by ten poznał stanowisko i drogę placówki, a wróciwszy do oddziału, mógł służyć jako przewodnik;

d) udziela instrukcji ogólnych, wyznacza straże, dla ubezpieczenia się przed nagłym atakiem nieprzyjaciela podczas marszu na stanowisko i podczas zaciągania placówki.

4. W pierwszym więc rzędzie wydziela czoło (szpicę), dając dowódcy jego nast. instrukcję:

a) droga—kierunek marszu i stanowisko placówki;

b) miejsce znajdowania się nieprzyjaciela;

c) punkt (np. skrzyżowanie dróg) lub odległość, skąd czoło ma wysłać patrole, oraz granice ich działania;

d) znaki rozpoznawcze (okrzyki, gwizdki, głosy ptaków lub zwierząt, by uniknąć pomyłki przy zetknięciu się).

e) rozkaz czołu odmaszerować.

5. Zanim czoło wysunie się na odległość stosowną do terenu, dowódca placówki daje ostatnie instrukcje i zarządzenia pozostałym ludziom i maszeruje z niemi na stanowisko.

Patrole wysłane przez czoło, wysuwają się narzód na odległość odpowiednią do terenu i albo patrolują przed frontem (pasmo 500—1000x szer.), albo obserwują z punktów o dobrym polu widzenia.

Stanowiskiem placówki bywa zwykle punkt w pobliżu skrzyżowania dróg, przy moście, na skraju lasu lub wsi, albo za grupą domów i t. p., w każdym razie musi to być punkt z rozległym widokiem, możliwie ukryty i z drogami odwrotnemi.

Po przybyciu na stanowisko, dowódca zatrzymuje oddział w ukryciu i bada teren, następnie rozkazuje złożyć plecaki na ziemi. Zamienić też zaraz chwilowe ubezpieczenie przez czoło z jego patrolami na stały łańcuch wedet. Wedety rozstawione winny być umiejętnie: w pierwszym rzędzie uwzględnić należy drogi, wiodące od nieprzyjaciela (drogi i inne ważne przedmioty nie mogą być granicą odcinka placówki, gdyż mogłyby się łatwo wysunąć z pod obserwacji). Dowódca placówki orjentuje się w terenie i udziela ludziom nast. wskazówek:

1) skąd należy spodziewać się nieprzyjaciela?

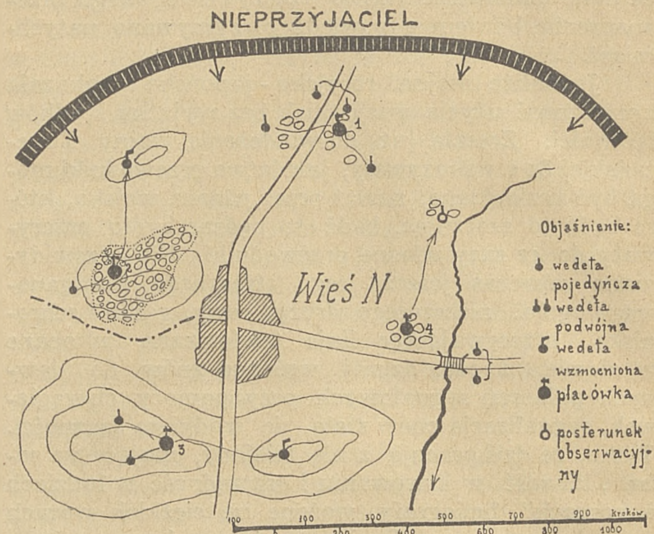
2) kierunek głównej uwagi;

3) hasło i względne znaki rozpoznawcze.

Poza wedetami, można ustawić (i nieraz nawet dość wysunąć) w dobrych punktach obserwacyjnych t. zw. wedety grupowe. Posterunek taki pełni służbę przez cały okres służby placówki (1—8 godz.) i wystawia jedną wedetę zwykłą, reszta ludzi (zmiana) odpoczywa, stosując swe zachowanie do przepisów dla placówki.

Harcerze na placówce są podzieleni na 3 grupy: pierwsza—stale obserwuje na lewo, druga—na prawo, trzecia—w tył. Samą placówkę dzieli się zwykle na dwie części: jedna wystawia wedety, druga wysyła patrole.

Wedety zasadniczo stoją w miejscu (najwyżej mogą przesunąć się o kilka do kilkunastu kroków, np. dla lepszej obserwacji), w dzień widzą one niezbyt daleko, w nocy bardzo niewiele, prawie nic. Wobec tego taką bierną, umiejscowioną obserwację uzupełnić trzeba czynną, ruchomą obserwacją patroli.



Patrole te, wysyłane co 2—3 godz. na odległość do 2—3 km., wysuwają się albo po drogach, wiodących w stronę nieprzyjaciela, lub też badają i przetrząsają teren przed linją placówek, a nawet z tyłu niej, — szczególną uwagę zwracają na fałdy i bruzdy terenowe, jary i pagórki, zarośla, grupy zabudowań, mosty, skrzyżowania dróg i t. d. Patrole mają wyznaczaną zazwyczaj drogę i czas powrotu. Można odcinek patrolu podzielić na dwie części, kolejno badane w godzinach parzystych i nieparzystych. Zwrócić jednak trzeba uwagę, że chociaż regularność w wysyłaniu patroli ułatwia administrację, jednak strzedz się trzeba, by nieprzyjaciel jej nie poznał.

Szczególną czujność zachować winna placówka skrajna (skrzydło jej „wisi w powietrzu”) zwłaszcza gdy linja placówek nie zamyka się. Patrole takiej placówki winny w stronę odsłoniętą chodzić częściej i dalej. Pozatym na placówce pożądanym jest trzymanie w gotowości patrolu, by mógł rozpocząć badanie za pierwszym znakiem podejrzanym.

Natychmiast po zaciągnięciu wedet i unormowaniu służby, należy wysłać patrol (pierwszy) w prawo dla nawiązania łączności z sąsiednią placówką.

Dowódca patrolu podaje wiadomości dowódcy sąsiedniej placówki: 1) o stanowisku własnej placówki, 2) o jej wedetach i 3) o nieprzyjacielu, po powrocie zaś melduje swemu dowódcy takież same wiadomości o sąsiedniej placówce.

Dowódca placówki na ich podstawie ustawia ostatecznie wedety.

Warunki terenowe, noc, mgła i t. p. uniemożliwiają nieraz łączność wzrokową (przez wedety) pomiędzy placówkami. Wówczas szczególnie starannie

winny pełnić swą służbę patrole, zaś placówki powinny na zmianę, co pół godziny wysyłać do siebie dwóch harcerzy.

Linję placówek, dojścia do obozu i t. p. dobrze jest oznaczyć w sposób umówiony (znaki harcerskie kamienne, paliki, kawałki papieru i t. p.).

Przy organizowaniu pierwszego patrolu dla badania terenu okolicznego powinno się wyznaczyć do niego dowódców następnych patroli, by ci później lepiej orjentowali się w okolicy, szczególnie w nocy.

Patrole stosują się do wskazówek dla pieszych patroli wywiadowczych (patrz o tym w książeczce ,,Skauci w polu'', Bibljoteczka harcerska, L. 1).

Wedecie nie wolno przepuszczać nikogo. Decyduje tu dowódca placówki. W wątpliwych wypadkach odnosi się on do dowódcy forpoczt (wzgl. obożnego, gdy niema oddzielnego dowódcy ubezpieczeń).

Na noc obiera się stanowiska gdzieś koło mostu, drogi lub przejścia strzeżonego. Noc pozwala na umieszczenie placówki lub wedet nawet w miejscu zupełnie odkrytym. Wedety ustawia się zawsze poniżej szczytów, wówczas bowiem pozostają one w ukryciu, widząc dokładnie wszelkie sylwety na szczycie. Jednakże można umieszczać jednocześnie obserwatora i na szczycie, o ile zyskuje na tym obserwacja. Poza wedetami i patrolami, placówka wystawia jeszcze ,,podsłuchy'',—posterunki z 2—3 ludzi, siedzące w ukryciu, w zasadzce przy drodze.

Harcerze pełniący służbę forpocztową powinni otrzymać ciepłą strawę przed nocą. Tak samo należy im w porę nadesłać strawę poranną.

Ze względu na możliwe przedsięwzięcia nieprzyjacielskie o świcie, na godzinę, przed świtem placówka podwaja swe czynności.

Gdy nadchodzi zmiana, wedety i patrole pełnią dalej swą służbę; stopniowo nowy łańcuch wedet zmienia dawny. Placówka dawna czeka na swe patrole, a po powrocie ich cały oddział odmaszerowuje do miejsca określonego (obóz, kolumna odmaszerowująca i t. d.).

Jeżeli zwinięcie forpoczt łączy się z odmarszem oddziału, to najpierw oddział wysyła ubezpieczenie marszowe i dopiero ściąga forpoczty.

Kazimierz Betley.

TO i OWO.

Jestem w lepszym położeniu, niż Referent od Redakcji, który nie miał materjałów w tece redaktorskiej. Ja—mam w niej, oprócz sprawozdania z Zagłębia, które niżej podajemy, pierwsze listy do Redakcji! Wyobrażacie sobie, co za radość zapanowała, gdyśmy pierwszy list do własnych rąk wzięli. Postanowiłem tedy naszym korespondentom coś nie coś powiedzieć, właśnie to i owo. Ale nietylko do nich się zwracam. O nie! I do Was, druhowie, którzy dotąd nam nic nie nadesłaliście. Nie myślcie' że nasza teka jest pusta. Na szczęście, wielu z Was pisuje nam sążniste i mądre artykuły. Ale mybyśmy radzi od nieznajomków coś odebrać i choćby z najdalszych stron. Jesteśmy ciekawi wiedzieć, co tam u Was słychać, jak sobie z harcerstwem poczynacie, jak ze sobą sobie radzicie, jak przygotowujecie się do tej chwili, gdy wreszcie ,,Wojna'' z naszych zagonów pójdzie precz i my o sobie będziemy myśleć i przyszłe życie tworzyć. Bądźcie przecie gotowi! Czuwajcie!

Redakcja nasza chce Wam stale dawać i słowo zachęty, i jakąś myśl radosną, i materjał do przerabiania na wycieczkach, abyście coraz to lepsi, sprawniejsi byli, harcerze! Czytajcie więc nasze pismo, jednajcie nam czytelników, bo od Waszego paparcia zależy jego istnienie. A przecież ono może zawędrować i tam nawet, gdzie dopiero imię ,,harcerstwa'' doleciało, a treści nie znają! Dzięki Wam nowe mogą wyrosnąć drużyny! Pomyślcie, jakiżby to był zlot, gdyby każda wieś polska swoją miała drużynę. A w Polsce dużo tęgich ramion, jest dużo mocnych pięści i dusz, łaknących nowej, nieznanej dla nich idei harcerstwa. Chcemy, by wieść o naszym ruchu cały kraj dla harcerstwa obudziła.

Pobożne zatem nasze życzenie przy współudziale stałej i wytrwałej działalności komend kiedyś przecież musi być rzeczywistością!

A teraz słów kilka i do drużyn. Wiele drużyn w Warszawie i po za nią wydaje swoje pisma, chcemy z Wami zamieniać numery. W ten sposób między nami będzie stała nić i będziemy mogli ogół harcerzy powiadomić o tem, co się w drużynach dzieje.

Wreszcie o naszych korespondentach. Cóż tam piszą, czembyśmy mogli wszystkich zaciekawić? Jeden z korespondentów pisze sprawozdanie z wycieczki... Otóż muszę powtórzyć, co już niżej ktoś inny mówi szerzej, że nam chodzi, druhowie, o Wasze wrażenia na wycieczkach, w obozach, i gawędach, a nie o opis gry, którą wszyscy znają. Pragnęlibyśmy wiedzieć, jak wpłynął na Was pobyt na kolonjach, jakieście tam śmieli się i radowali! Jaka gawęda największy na Was wpływ wywarła, kiedy poznaliście w sobie ducha prawdziwego harcerza? Odpowiedzi udzielimy Wam chętnie, pogawędzimy, byle nam Druh Redaktor miejsca w piśmie udzielił! Zresztą jakiś kącik odpowiedzi znajdziemy. A jaki jest ten pierwszy list? Naturalnie ,,byków'' nasadził?—pytacie. Jakbyście zgadli! Drużynowy—przez ó,—ale każdy początek jest marny, a każda następna próba coraz lepsza. Styl zato był potoczysty, więc błędów już łatwiej przy starannem pisaniu można się wystrzedz.

Harcerz dba o czystość mowy ojczystej, ale i poprawność pisma!

Pozatem miłe są dla nas wszelkie nadesłane i wiersze i kartki z pamiętnika. Z wierszyków nadesła-

nych coś wybrać możemy do „Harcerza", a kartki z pamiętnika są cennym materjałem, z którego, jeżeli będzie można, skorzystamy. Nadesłał nam także kartki dr. „ze Złoczowa". Ciekawe dla nas „walki młodej duszy" ze sprzeciwnościami życia, ale pewni jesteśmy, że każdy z Was, druhowie, z takiej walki wyjdzie zwycięzcą, a więc i wy, druhu „ze Złoczowa". A wtedy w waszym pamiętniku znajdzie się piękny wiersz (tylko trzeba go wygładzić), radości pełen ze słońca, co złotem ziemię karmi. Silną piersią, choć młodzieńczą odżywczego zaczerpniecie powietrza i opowiecie nam szczerze i ładnie o zwycięstwie nad własnym smutkiem. Takiego wyjątku z pamiętnika czekamy z niecierpliwością!

Wogóle od wszystkich czekamy z niecierpliwością jak największych i jak najszczerszych listów.

Józwa.

□□□□□□□□

Z ŻYCIA HARCEREK.

I u nas w Warszawie jest „Redakcja od życia harcerek", naśladująca we wszystkiem swą starszą siostrę, Redakcję lwowską. Wprawdzie uczeń nie prześcignął jeszcze mistrza, ale podobno „chęć starczy za uczynek".

Zebrała się więc ta nasza redakcja w G. K. i biada, czy te harcerki żyją właściwie, bo jakoś tego nie widać. Wtem dzwonek; wchodzi biszkopt (nie taki do jedzenia) i mówi: „Druhno, przyniosłam list". O radości! Redakcja skacze, wyrywa sobie list, że omal nie zostają strzępy i czyta... Napisane: „Korespondencja do pisma", lecz ani daty, ani podpisu, ani drużyny. Ale „nie chodzi o formę, tylko o treść", szanowna Redakcja nie traci nadziei: przewodnicząca czyta, Redakcja słucha: „Nasza zbiórka w rocznicę Racławicką. Zebrałyśmy się o g. 4-ej na pensji; na komendę „baczność!" stanęłyśmy w rząd według wzrostu („o jej" wzdycha Redakcja), zastępowa sprawdziła obecność, przypomniała o dzisiejszej rocznicy i zaśpiewałyśmy „Rotę". Potym usiadłyśmy naokoło zastępowej i zaczęła się gawęda, na temat: „Jak harcerka powinna służyć Ojczyźnie i jak winna obchodzić rocznice narodowe?". Gawędy słuchałyśmy wszystkie w milczeniu i odniosłam z niej wielką korzyść, gdyż natchnęła mnie zapałem do dalszej pracy. Po skończeniu zaśpiewałyśmy „Rozmaryna" i poszłyśmy do domu".

Przewodnicząca przestała czytać. Milczenie... O siostry harcerki! Co pocznie biedna nieszczęśliwa „Redakcja od życia", jeśli wszystkie korespondentki tak ją będą informowały o życiu harcerskim w drużynach?

Jak opisujecie zbiórkę, nie piszcie, że sprawdzacie obecność, chyba, że żadnej druhny nie było. Nie piszcie o szumnych tytułach gawęd, chyba, żeście je same wymyśliły. Nie piszcie, żeście śpiewały „Rozmaryna" chyba, żeście go nie śpiewały. Nie opisujcie też, na litość, gier harcerskich, chyba, że umiecie coś więcej, niż Kima lub wystawy sklepowe. Więc nie piszcie tego wszystkiego, o czem wie każda, mająca pretensję do miana harcerki.

Tylko opisujcie swoje wrażenia ze zbiórek, warsztaty, jakie znacie, gry, wymyślone w waszych drużynach, piosenki, jakieście ułożyły, i wszystko, co wam tylko do głowy przychodzi. (?) (Przypisek Redaktora). Opisujcie wycieczki, co na nich robicie, przytaczajcie dowcipy tak, jak były powiedziane, opowiadajcie o wszystkich przygodach, żeby te korespondencje były prawdziwym obrazem życia harcerek.

„Redakcja od życia harcerek".

□□□□□□□□

Z życia naszych drużyn.

ZAGŁĘBIE DĄBROWSKIE.

Praca harcerska w Zagłębiu Dąbrowskim, okrąg IXa, ma za sobą już bardzo poważną tradycję. Powstała ona zaledwie o kilka dni później od pracy w Warszawie, to też obok biszkoptów nie trudno odnaleźć wypróbowanego już w „bojach" luminarza. Nic więc też dziwnego, że liczbowo okrąg IXa przedstawa się okazale, stoi on na drugim miejscu po Ia, liczy blizko 2000 chłopców w 20 prawie drużynach. Są to przeważnie uczniowie miejscowych szkół średnich i niższych, ale nie brak tu także i synów górników i chłopców z ludu. Te dwie ostatnie kategorje stanowią dosyć trudny do opanowania i prowadzenia materjał, tem bardziej, że ruch harcerski zaczął ogarniać niższe warstwy ludności dopiero w ostatnich czasach, wskutek czego brak jeszcze wyrobionych w tym kierunku instruktorów, brak kierownikom doświadczenia. Tworzą się też przy drużynach zastępy zuchów. Najsilniej praca rozwinęła się w Sosnowcu, gdzie jest 7 drużyn, dalej idzie Dąbrowa i Będzin; z pomniejszych ognisk zasługują na uwagę Niemce, Grodziec, Niwka i Ząbkowice.

Na początku wojny dało się zauważyć, jak zresztą i wszędzie, pewne osłabienie pracy, obniżenie jej poziomu. Trzeba było walczyć z poważnemi nawet trudnościami. Na samym początku obowiązywało rozporządzenie władz, zabraniające tworzenia nowych i rozwiązujące dotychczasowe organizacje młodzieży. Obecnie dużą przeszkodą w pracy jest przeprowadzenie przez sam środek okręgu granicy okupacyjnej, a następnie duża stosunkowo rozciągłość okręgu przy dużej jego liczebności. Okrąg obejmuje kilka równorzędnych prawie miast, w których jest po kilka drużyn, i całą ilość osad górniczych.

Wszystko to spowodowało, że praca była prowadzona oddzielnie drużynami, brak było łączności z komendą okręgu, a przy braku instruktorów wytworzyło to obniżenie poziomu pracy w niektórych drużynach. Obecnie dziać się zaczyna coraz lepiej. W niektórych drużynach praca odpowiada swemu zadaniu, w większości jednak wypadków jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Połączenie właściwe okręgów b. P. O. S. i Z. H. P., które nastąpiło dopiero w końcu lutego r. b. spowodowało w dotychczasowym życiu harcerskim ogromny zamęt, znosząc wiele dotychczasowych rzeczy, a ustanawiając na ich miejsce nowe. Najważniejszą obecnie i najpilniejszą sprawą jest wprowadzenie ładu i porządku. Niełatwe to zadanie zostało powierzone nowoutworzonej komendzie okręgu, która przy dzielnej pomocy kilku drużynowych organizuje okrąg.

Wogóle jeżeli chodzi o charakterystykę pracy IXa okręgu, to można ją określić jednym wyrazem: organizowanie się. Organizowanie się prawie zupełnie na nowo po wielu niepowodzeniach, zamętach i wewnętrznych niepokojach. Kilka razy harcerstwo tam zamierało i odradzało się na nowo. To też brak tamtejszym harcerzom tradycji, brak im silnych podstaw, pozostałych z dawnej pracy, i muszą obecnie te podstawy zdobywać, prawie rozpoczynać pracę od podstaw. Jedną z największych przeszkód przy organizowaniu pracy jest brak instruktorów, któremu ma zaradzić projektowany podczas wakacji kurs dla zastępowych.

Wynikiem takiego organizowania dopiero pracy jest mała ilość harcerzy II stopnia, kilku zaledwie. Jednakże na urządzonym z powodu mojej bytności pierwszym w okręgu egzaminie, wykazali chłopcy, którzy ten egzamin składali, wystarczająco duży zakres wiadomości i wyrobienia harcerskiego. Co prawda całkowicie zdało tylko dwóch, ale było to wynikiem krótkości czasu, jakim rozporządzaliśmy. Wobec takiego stanu rzeczy oczywiście o sprawnościach jeszcze mowy niema.

Jednakże trzeba stwierdzić, że nie jest tam jeszcze zupełnie dobrze, choć z pewnością dzieje się lepiej, życie nie zamiera, chłopcy interesują się pracą i pracują z zapałem. Jest zamierzony kurs dla zastępowych, o którym wspomniałem, a także urządzenie wystawy harcerskiej i zlotu.

Z całego mojego tygodniowego pobytu w Zagłębiu wyniosłem jak najmilsze wrażenie i jak najbardziej obiecujące nadzieje na przysłość. Przyjmowano mnie z prawdziwie harcerską szczerością i otwartocią, znalazłem tam się w braterskim otoczeniu.

J. Myszkowski, druż.

□□□□□□□□

Od Redakcji.

KONKURSY.

W celu dania możności ogółowi harcerstwa wykazania sprawności wykształcenia i rozwoju umysłowego Redakcja ,,Harcerza'' ogłasza niniejszym do wiadomości wszystkich ,,czuwających'' następujące konkursy. Baczność!

I. Zawód harcerski. Napisać nowelkę (200—300 wierszy druku) p. t. ,,Życie obozowe''— wesołą, pogodną, lekką w czytaniu, którąby mogła być wyraźnym przyczynkiem do spraw wychowawczego znaczenia życia w obozie.

II. Zawód harcerski. Napisać krótkie, ścisłe, nie mniej przeto wyczerpujące wskazówki ,,Podchodzenia w nocy''—ze specjalnem uwzględnieniem wyzyskania światła nocnego i cieniów z nim związanych (światło księżyca, gwiazd, zorzy, t. zw. mlecznej nocy, światło odbite i t. d.).

III. Zawód harcerski. Opisać ,,Pokrycie terenowe'' danej, bliżej poznanej miejscowości w kraju na przestrzeni wiorsty □, wykazać zapomocą badań florystycznych charakter terenu tej przestrzeni. Miejscowość oznaczyć ściśle, dać jej mapę.

IV. Zawód harcerski. Ułożyć w porządku metodycznym ,,Rozkazy komendy'', jakie musi wydać—prowadzący drużynę złożoną z 60 chłopców z A., aby wyprzeć cofającego się nieprzyjaciela (w sile 50 ludzi) po za las B—(patrz rys.).



Godzina 6 pp. pogodnego dnia w Maju. Drużyna atakująca podeszła tylko co pod las A. Placówki

wroga niewiadome. Od szczytu wydmy do brzegu lasu B odległość = 260 sążni.

Warunki zawodów. Prace przepisane czysto i wyraźnie, opatrzone pseudonimem i godłem, przysyłać należy do dnia 1-go Czerwca włącznie na ręce D-ha Konrada Chmielewskiego (Krak. Przedm. 6 m. 3). W osobnej zaklejonej kopercie, na której podać godło i pseudonim, nazwisko i adres autora. Prace nagrodzone i odznaczone drukowane będą kolejno w „Harcerzu". Nagrodę stanowią odznaki honorowe 2 stopni — do noszenia na piersiach, zatwierdzone przez N. K. Z. H. P.

Sąd konkursowy stanowią: Druhowie: Ks. Kom. J. Mauersberger, K. Chmielewski, Wład. Radwan, S. Rudnicki, P. Olewiński, Ign. Wądołkowski.

W razie powodzenia zawodów, lista sędziów będzie powiększona przez kooptację. Spocznij!

POWOŁANI DO SŁUŻBY WYŻSZEJ.

O

23 kwietnia r. b. zmarł ś. p. Stanisław Bakuń, mając lat 19, szeregowiec IX dr. Harcerskiej im. Sowińskiego. St. Bakuń był wychowańcem 6-cio klasowej szkoły Dr. Ż. W. W., zrazu członek istniejącej w 1914 r. drużyny Grodziskiej, a w następnym roku dr. im. Sowińskiego. Nosił czasowo szarżę zastępowego, jedyny w drużynie im. Sowińskiego posiadał krzyż stopnia II.

Zmarł jako nauczyciel ludowy we wsi Telaki (powiat Sokołowski, w Siedleckiem), gdzie też spoczął na miejscowym cmentarzu.

OD ADMINISTRACJI.

Cena zeszytu wynosi w Warszawie i na prowincji 80 fen. W prenumeracie rocznej 9 marek, kwartalnej 2 marki 25 fenigów.

Komendy okręgów, drużyny, zastępy i poszczególni harcerze, którzy podejmą się rozprzedaży pisma, otrzymają 10% od każdych rozprzedanych 10 egzemplarzy.

Zamówienia formalne przesyłać pod adresem Administracji, gdzie też wyłącznie można prenumerować „Harcerza". **(Warszawa — Złota 30. Gł. K. Z. H. P.)**

Administracja gorąco prosi Komendy Okręgów o regulowanie jak najprędzej rachunków za I-szy numer „Harcerza" i **popieranie stale naszego wydawnictwa.**

Cena ogłoszeń — za wiersz garmontowy, jednoszpaltowy 80 fenigów. Drużyny i harcerze płacą za wiersz 40 fenigów. Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy.

Redaktor i wydawca Konrad Chmielewski. **Druk Piotra Laskauera. Warszawa, Marjensztad 8.**

Za pozwoleniem Cenzury Niemieckiej 19/V 1917 r.